

Brühl, tom pierwszy



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

TOM I

Brihl

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

I

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem przerywanym puszcza odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnymi: środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołym usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i gałę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcéj, szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdązał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córka, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski był tak liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczery i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myślistwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał: pod namiotami gwaro już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodnie. Po znużeniu całodzienném chwymano za stojące fiasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynaly znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Dalej jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu też dozorczy mieli do czynienia aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze Jego Królewskiej Mości słowo. Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztućca kulą w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwyczajtwie tak zimnym i spokojnym jak był przedtém. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém

fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechne roślina zwana *tobacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniej przy mężkich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tobacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknięcia do tego trunku, który z kartami i winem razem, uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami też fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy posiadawszy z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rześiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wczesnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wylamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z mejszeńskiej porcelany¹, biała, różowa, niemal dziecięcej i dziewiczej piękności, z uśmiechem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystreimi, ale zostającymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozplomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, niewyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczym, nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to wezwany do jakiegokolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczyzno odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał kłamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich, młody paź ze swą miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejechał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do usługi sercem. Nie obawiano się wcale aby takie niebożątko pokorne, mogło zejść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był też ładny... kobiety, starsze zwłaszcza, patrzyły nań wdzięczającymi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust

¹mejszeńska porcelana — porcelana produkowane w Miśni (niem. Meissen) od 1710 r. [przypis edytorski]

jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby, i dla kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliva matka-natura.

I w tej chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś że to czynił ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwne służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całe różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcć był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel królewicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn nie mającego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowém słońcem wschodzącém i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiał się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie, z powagą ale z łaskawością razem. Z dala ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczém nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomódz?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka. Cóż? polowanie się udało; ja, jak wiesz, nie mogłem być na niem, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

— Tak! polowanie się wybornie udało, N. Pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił: — Któż tam teraz w alkowie panuje? he?

— Doprawdy, nie wiem: mamy pono bezkrólowie?

— A! a! to nie może być! — zaśmiał się Sułkowski — Dieskau? nie...

— A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja, nie wiem.

— Jakżebyś ty, paź królewski, nie wiedział?

Brühl spojrział nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, paziowie wiedzieć niepowinni... Myśmy jak tureccy *muets*², głusi i niemi.

— A! rozumiem — odparł Sułkowski — ale, między nami.

²*muets* (fr.) — niemowy. [przypis edytorski]

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

— *Intermezzo!*³ — rzekł Sułkowski.

Zdaje się że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia — odezwał się — miło mi jój użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nic a nic! — odparł Brühl — a wierz mi hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili gdy miał szczęście zbliżyć się do was, uczulem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie żem się po tój dróżynie wybrał przechadzać z jakimś przecuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrzął na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wiercież mi — odezwał się — iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wzięwszy się za ręce we dwóch, daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu i w łaskach.

— O! o! — odparł Brühl — nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! słyszałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył rękę.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię — powtórzył Sułkowski — ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tępem, że mnie przyjacielem nazywa. Sądę że nie obszedłby się bezemnie.

— Wy, to co innego — przerwał Brühl żywo — mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem.

Winiem łasce księżnej że mnie przy boku J. K. Mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na ślizkiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tępem na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełnym. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drżać.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda — rzekł cicho — lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych! — wykrzyknął Brühl — co za szczęście mieć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyk przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiali mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniej przekonany.

— Nie lękaj się Brühl — dodał — idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdał się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył rękę jak do modlitwy, twarz jego błyskała radością, spojrzął na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyjonalną dobrocią uściskał go.

³*intermezzo* (wl.), — krótka wstawka o pogodnym lub komicznym charakterze wykonywana między aktami opery (np. opery seria); z czasem zrodziła się opera buffa. [przypis edytorski]

W tej chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały znać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił, i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innymi się zabawić, potem z dala popatrzawszy, w bok się skierował zadumany ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślenia posądzić go nie dozwalały. Prędkiejby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzawać się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy niewidać było troski sercowej, która się maluje na nią, łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędkiej rachował coś i kombinował niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pomiął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z sobą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polówki. Około dwóchset do oblawy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nieśmiejąc nawet głośnieję się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośnieję, tém oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł dalej. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiedleń zieleni, wyziewy jedlin, unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął, twarz, której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczone, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech przebiegł po niej i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestrasz, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznanne, dziwne, podejrzane. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniej przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu, wyglądało dziwnie, podejrzanie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podrózne i dwie torebki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozemnieć twarzy, ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej niż zobaczył, skromnie po podróznemu przybranych, dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzawszy się pilniej dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrowniej rzemieślniczej czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po cichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszeć jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod boki króla, ci podróźni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność, nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy — odezwał się siedzący na ziemi. Czy zakazanym jest tu spoczynek podróznym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór N. Pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać? — dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie — odparł Brühl żywo. Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühl'owi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami na ramiona spadającymi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka jaką nosili *studiosi*⁴, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmość tu robicie? — powtórzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrownkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy — począł powoli młodzieniec. Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan — dodał spokojnie student — iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniej. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby J. K. Mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal! — westchnął.

— Jakto żal? dlaczego? — zapytał zdumiony paż.

— Dlatego że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, miléj mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichéj modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem — dodał Zinzendorf spokojnie — iż się to wydać wam musi, wam co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakłatać do serca chrześcianina uspiętego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili.

Oślupiały paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka — dodał Zinzendorf — lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a niemiałbyś pobłażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

— Prawdziwie — szepnął Brühl — ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lękając się by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jój życiem i krwią moją.

⁴*studiosus* (łac.), lm. *studiosi* — uczeń. [przypis edytorski]

Bracie w Chrystusie — rzekł zbliżając się doń Zinzendorf — jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczej sobie nie tłumaczę wieczornej waszej przechadzki samotnej, siadź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją.

Bracie!

Brühl jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam — rzekł — a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

— Żal mi was — zawołał — gdybyśmy tu pod tym drzewem zanucili pieśń wieczorną: Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...

— Naówczas — dorzucił paź — posłyszaliby to w. łowczy, lub który z podkomorznych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jój niema, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? — zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertzburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie wnijsć w drogę N. Panu? — zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzélki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiej go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Wiadać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan — rzekł zimno — nazywamy się wszyscy chrześcianami i synami Bożemi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jój niema w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich niema, ale im składamy ofiary.

Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

W tej chwili gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrział.

— Nie sąż to bachanalia, tylko co nie słyszę Ewoe! — zawołał — idźmy prędkiej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl przodem idący nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby coperędziej się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radzcę wojennego Pauli.

Radzca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radzca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie poraż pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym

został od gąsiora. Trafiło mu się często w miękkim łożu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacjach, ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powlókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci Brühl.

To mówiąc powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot to służba!! i usnął.

II

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli N. Panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajal się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu, Brühl? — zapytywał z uśmiechem.

— Na rozkazy W. K. Mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a K. J. Mość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnym ani niepodobnym nie było; w skok biegł i sprawiał co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Huberstburgu widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał, nie czując nic więcej, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był od dawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem: zaraz mu się lepij i raźniej zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radzca, że Brühl go ratował w owej dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radzcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przytém niepomiernie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawiesisty. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzętkły.

Wszakże gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jęj nie potrzebował król J. M. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radzcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radzca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! Oto jestem! w ten moment!” Ale nie wstał aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Flemming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakésmy mówili, czekano, radzca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spisał, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumął. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radzca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał z razu dziesiątą, potem jedenastą, a radzca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w tej chwili najniezwyklejszym z ludzi.

W tej samej sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radzcy.

O jedenastej wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się jak zwykle śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go, radzca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy! — zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz! Brühl! Wystaw sobie jestem na czczo!

Kiedy przyjdą kresy?

Paż spojrział na zegar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?*⁵ — odparł tym językiem, który obok francuzkiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

— Jedenasta! a ja na czczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc, radzca ziewnął, wstrząsnął się cały — Brr! — i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radzco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na kurytarz wiodący do kucheni i kredensów, tamby wyśmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radzcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój! — zawołał — ratujże mnie niezszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jedném oknie. Tu! o чудо! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła, stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg obrusie, zastawione porcelanowe, białe z siném nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocego się wina.

⁵*Chi lo sa?* (wł.) — Kto wie? [przypis edytorski]

Radzca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychlej zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

— A wy?

Paż głową potrząsał. — To dla was, kochany panie radzco!

— Niech ci płacą bogowie! — zawołał w uniesieniu Pauli, — niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich, niech ci Higeia da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspokajania go węgrzynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pograżył się w niem cały. Brühl stał, jedną ręką o stół oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radzcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą winą szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłysły, a wypiwszy i opadłszy na poręcz, w błogim uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

— Bozki napój! Cudotwórczo mój, zkądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar!

— Niechże radzca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacją! — zawołał radzca, nalewając drugi kielich, równając się dobrej szklancy. — Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczny do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby ztąd wynieśli na Frydrychstadt. Czulem, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę — rzekł Brühl — że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę, przysłużyć się panu radzcy, ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką pocałował w powietrzu, jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek, coraz lepiej smakuje. Jest ono, jak dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcej przywiązujemy do niego.

Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli N. Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncytować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radzco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? To tylko *exbilaracya* niewinna, to *stimulans*⁶, to... nic.

— Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały. Zaśmiał się radzca. Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć, w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austriackie wino z francuzkiem: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radzca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokałem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżnił, wziął na się podczaszostwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruczał:

— A depesze?

— Lecz czyż pan się może lękać?

— Masz słuszność, gdybym się lękał byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twoje zdrowie! Dojdiesz wysoko!

W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiero weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! e! e! to bym dopiero przyprowadził!

Brühl ciągle nalewał.

Radzca patrzył na gąsiorek który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

⁶*stimulans* (łac.) — pobudzanie, stymulowanie. [przypis edytorski]

— Nie mam się czego lękać — przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie — nie wiem, czy wy to pamiętacie: raz pomnę dzień był upalny, N. Pan posłał mnie do tej nieszczęśliwej bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszedszy w ulicę, poczułem wirowanie dookoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przedemną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem com pisał. Dostyc że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścien z szafirem.

Z gąsiorka łało się a łało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radzca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba — odezwał się cicho — ale wino jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radzca — co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dla tego aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest? — krzyknął. — Co ja widzę?

— Nic, nic — rzekł paż pocichu — jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzję jego i kwintessencję. Nieszczęściem, — mówił paż wesoło — starając się o dzieło kompletne dla pana radzcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takiej literatury nie lubił! — westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne — kończył chłopak — nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi — rzekł, podnosząc zwolna flaszkę omszoną — jest starszej pierwotnej edycji: *editio princeps*⁷.

— Ach! — podsuwając kielich, zawołał Pauli — tego gotyku szacownego nalój mi jedną stronnicę: nadużywać szanownej starożytności nie trzeba.

— Ale co po nim gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! stokroć prawda; ale depesze! depesze! — zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A! gdyby się tam mosty połamały! — westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów — szepnął Brühl.

— *Panaceum universale*!⁸ Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o! — przerwał młodzieniec.

— Dla waści — mówił radzca — to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego.

Gdyby nie te depesze!

— A cóż? depesze! czyż jeszcze...

— Prawda! kat je bierz!

Radzca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacje, widocznie go rozmarzać poczyniły. Ociężał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz maleńka drzémka i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba! — nalegał paż.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? — rzekł radzca — co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radzco, a fajka?

⁷*editio princeps* (łac.) — dotyczy książek: pierwsze wydanie, w szczególności cennego tekstu; tu przenośnie: cenny, wiekowy trunek. [przypis edytorski]

⁸*panaceum universale* (łac.) — uniwersalne panaceum; uniwersalny lek, skuteczny na wszystkie dolegliwości. [przypis edytorski]

— Aniele mój! — zawołał Pauli otwierając oczy — i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwi! — przerwał paż podając fajkę.

— Jak się tu oprzeć pokusie! daj! daj! Co się ma stać niech się stanie.

Może poczytliion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął?

Poczęli się śmiać.

Radzca chciwie dym ciągnął.

— Dyable mocne *tobacco*⁹.

— Królewskie — rzekł paż.

— Ale bo i król mocniejszy odemnie, hę?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i poczał w lewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemily.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiém także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery, odznaczały go między innymi paziami do osoby króla przywiązany. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl? — zapytał — gdzieś ty był?

Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiej sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem — dodał śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając Moszyński — że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

— Panie hrabio — rzekł łagodnie — wam faworytom pana wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu się i biednemu, byłoby to niedarowaném.

Skłonił się bardzo nisko.

— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć że cię nikt zastąpić nie jest w stanie: — podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziź się tak ze mnie biédnego prostaczka żartować? ja się tego ucę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami — rzekł — wojować na słówka niebezpiecznie, wołałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

— W niczem sobie żadnej nie przyznaję wyższości — dodał cicho.

— No, szczęśliwej służby! — zawołał Moszyński. — ot wasza godzina: do widzenia.

To mówiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stanął w niém i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, nie zliczona czeladź pańska związała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy: wszystko to cicho dosyć sprawując się mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

⁹*tobacco* (hiszp.) — tytoń. [przypis edytorski]

Szambelan wyszedł od króla.

— Niema kresów? — spytał Brühla.

— Dotąd nie przyszły.

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radzca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiej.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się z lekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl, wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w powdórcę na zziąjanym koniu pocztyliona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba zdążyła odebrać opieczęto- wane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat¹⁰ stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiéry, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zblżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

— A! — zawołał August — żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radzcę Pauli — powtórzył król niecierpliwie.

Paż skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli! — zawołał August widząc go wchodzącego.

— N. Panie! — wyjąknął Brühl — Radzca Pauli.. radzca Pauli...

— Jest tu?

— Jest N. Panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radzca Pauli — spuszczać oczy dodał paź — jest nieco niedysponowany.

— Gdyby był konającym to mi go tu przyprowadź — krzyknął król — niech obo- wiązek spełnia, potem skona kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli! — zawołał król tupiąc nogą.

— Radzca Pauli jest w tym stanie...

— Pijany? — podchwycił August — A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia.

Zlejcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha.

Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radzcę, ale ten stał się nie- ruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potracił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w rękę czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył!

Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

— N. Panie — schylając się wpół z rękami złożonymi na piersiach, odezwał się Brühl

— N. Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość

¹⁰blat — dawniej: taca, płaski półmisek. [przypis edytorski]

królewska przebaczyć: wiem że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla W. K. Mości. Jedno słowo N. Panie skazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.

— Ty młokosie?

Brühl się zaczerwienił — N. Panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź — rzekł idąc ku oknu — oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmówną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć a nie odsłoń jój wyraźnie. Rozumiesz? — Brühl skłonił się i chciał z listem wybieść.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd? — zawołał król — tu — wskazał ręką: tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materią w kwiaty wybitęj kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biec po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę jakby bilet do kochanki.

Myliliby się ktoby sądził że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniiał o swój postawie.

Siadł niby od niechcienia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał ręką wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umięttnie. Zimna rozważa towarzyszyła mu w tój sprawie napozór z gorączkowym dokonywanęj pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo pisał jakby pod dyktowaniem gotowęj myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.

— Czytaj! — rzekł.

Brühl odkasznął, głos mu się trząśł nieco i był cichy. Któż odgadnie czy ten dowód twogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos, zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzanie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczów.

— Jeszcze raz, od początku — odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniejęj jeszcze, śmielęjęj czytał i dobitnięjęj.

Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłoń.

— Przewybornie! — zawołał — Pauliby nie potrafił lepiej ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziśdnia moim sekretarzem do depeszy. Pauli, żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwią, niech się zapije i zdechnie.

Zadzwoił król: wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio — rzekł, zwracając się do niego — niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy!! Sekretarzem do depeszy, od dziśdnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskięjęj, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dała uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu — mówił August. Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopią spisać — dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę — rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz! — zawołał August. Proszę mu trzysta talarów kazać wylczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania, król podał rękę do pocałowania: był to znak łaski niemały.

W chwilę potem nagotowany już kuryer, zabrawszy opieczetowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez Szambelana Friesena, rozpowiadana historia depezy i niespodzianej łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegly za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską, najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydział tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słyszysz? — zawołał — Brühl *amanuensem* N. Pana? Kiedyż? co? jak?

— A! dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestachu — cicho odezwał się Brühl — jak się to stało? nie wiem. Opatrzność czuwała nademną, *un pauvre cadet de famille*¹¹. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzył nań Moszyński.

— Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twój trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwym i nie szydź sobie z biédaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższym krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań — odezwał się Moszyński, — że go największe nie-szczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historią szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz, Brühl — szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry — ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana, umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela rzekł: „Ja tobie biję brawo!”

Z pokorą wielką paż się uklonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniali ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Jozefina.

Ktoby go tu był spotkał po pod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Widoczném było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzódy na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka z nisko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiałe, coś szepnął,

¹¹*un pauvre cadet de famille* (franc.) — biedny młodszy syn. [przypis edytorski]

ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko — *Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paż, oświetlony był dwiema pod umbrellką na stoliku, palącemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela: na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnymi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wąskich, bladych kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczej wyglądała, niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapeczkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać: na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczej się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!*¹² — szepnął siedzący na kanapie — myślisz że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki — odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twe łaską oświetlone skłoniło, a zobaczysz.

Podniósł rękę w górę. — Pójdiesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Jam ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyma błyszczącemi zmierzyl siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązek, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? Jak śpiewała Celesta? Patrzał na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre¹³ Guarini, tak się zwał ten którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie, czy za kulisy paż nie chodził.

— Ja? — z pewnym zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego! nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego żeby zobaczyć jak te anioły wydają się, gdy prostemi ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niema obawy aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

— A któż nad królem króluje? — zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: pono jak w Polsce elekcyja dopiero ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

— Powiedźże mi choć co nowego, oprócz tego żeś sekretarzem został.

— Chyba że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym terażniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze iż takim choć jest jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa

¹²*ecco* (wł.) — tutaj. [przypis edytorski]

¹³*padre* (wł.) — dosł. ojciec; tu: określenie księdza. [przypis edytorski]

nie da mu zniżyć z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począc powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy *lontano! lontano!* westchnął.

— Na pamiątkę tego dnia — dodał — chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzywszy dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

— Ojciec Święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codziennie odprawiać potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunawszy talara, osłoniony znowu płaszczem spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się zdając namyślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby niewiedząc co pocznie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki schował spiesźnie do bocznej kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do której dążył stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu? — zapytał.

— Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

— Goście? — wahając się podchwycił Brühl, jakby go to od wnijscia zniechęciło. — Któż taki?

— Młodzie z Lipska łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

— Nie chcę być natrętnym — rzekł paż kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś — odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. — Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześciance do katakumb wchodzili. Chwała tym co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszernej izby skromnie przybrananej, ale z kwiatami na oknach. Szpincik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę — rzekł — drugi to raz spotykamy się w życiu. Winiem panu żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholców jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie — odparł młodzieniec — a chociażbyście byli katolikiem, arianinem, wiklefiścią czy kimkolwiek bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecić powinny, choć na jednej wyrosły lodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słyhać? — spytał gospodarz — myślę że nic innego jak z rana litanią a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądźcie mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna, któremi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

— Prawdaż to że kościół katolicki budować myślą? — zapytał gospodarz.

— Nie słyzałem o tém, tylko jak o projekcie dalekim — odpowiedział Brühl — a wątpię bardzo ażeby król pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomysleć.

— Zgrozaby była! — wyjęknął pastor.

— Dlaczego? czcigodny panie — przerwał mu Zinzendorf. Zarzucamy im nietolerancję, a mielibyśmy się nią sami posługiwać. Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwala Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejście pastora i ruch ten jakby nagle powściągniony, dwuznaczny się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio — odezwał się pastor obracając się ku niemu — to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu nie możliwe. Na dwu ramionach płaszcz nosić nie można, ani dwóm Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się żadnej nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy do kogo pił. Brühl udał że niesłyszcy, żałował nawet może iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie — zawołał — a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od Faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor — hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyi twych przejść do czynu...

— A! za tém gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzjasta, podnosząc ręce do góry — gdybym siebie tylko miłował poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślanu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dla tego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie poźrzć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwycił słowa.

— Myślę że ta gorącość wasza, miły panie — odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze? — zapytał Brühl cicho — na dworze hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie — odstępując krok zawołał Zinzendorf! — ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia, i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszalą.

Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozpłomienić; na dworze byłbym wyśmianym: tam spełnię do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio — dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech — prędko dokończył Zinzendorf — temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużej. Zinzendorf ze swą mową dziwną napęlił go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cichą poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca Jezuity czy u pastora był szerszym przyjacielem i gościem, o tém wyrokować nie umiemy i to pewna że obu odwiedzał gorliwie i o łaskę ich się starał,

nadskakując więcej Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec Jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświetlone okna dozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej, hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawem spoglądająca okiem na młodego paza, który jej wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wniknięcie o wszelkiej dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbyt, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiej liberyi dworu, stał w peruce kamerdyner W. ochmistrzyni, który kłaniając się i nie mówiąc nic drzwi mu otworzył: Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie ciemny, kilka świec woskowych z długimi knotami paliły się same sobie na stoliku i w mdlém świetle ich wiszące na ścianach, poczerńiały obrazy, dziwaczną mieszaniną światła i cieni jak widma jakie majaczały. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i ztamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia, gdy na posadzce skrzypienie trzewików Brühla słyszeć się dało, z za drzwi pokazała się nisko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku — ozwał się głosik dziecięcy i świeży — a to wy: czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potem podwoje otwarły się szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Można ją było tak nazwać, albo raczej ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atlasowej sukience z koronkami, w jedwabnych *à jour* pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca pannieńka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmiechem witając Brühla dygnęła mu tak jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *Maitre des ballets*¹⁴, sam p. Favier, wyuczył; tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowioną surową, jak owe figuynki porcelanowe aniołków w frakach, które w Meisen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jej ukłon jakby staruszcze. Wielkimi oczyma czarnymi spojrziała nań dziecina jakby szukając należytnej czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w tej chwili powaga jej nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedia była skończona.

— A, to wy! panie Henryku?

— A jej excellencya?

— Mamina excellencya na pacierzach u królewiczowej. Padre Guarini czyta litaniją, i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! tylko piesek Filidorek, pani Braun została i ja sierotka.

Słuchaj Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królową, a ty wielkiego ochmistrza, a Filidorek kogo?

— Panno Franciszko, bawiłbym się z wami w cobyście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś nie grzeczny dla dam — odpowiedziała hrabianka z minką stariej jęomości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszna — ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewno! i to bardzo prędko — zawołał Brühl śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna — dodała Frania.

To mówiąc zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrziała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniej dziewczynki odbijał się już niestety cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atlasowej sukni nie dał się słyszeć i śmiech.

— Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz...

¹⁴*Maitre des ballets* (franc.) — baletmistrz. [przypis edytorski]

Osoba która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznej postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath — Krakowska W. ochmistrzyni dworu królewiczowej. Zobaczywszy matkę niezmiészana Frania odnowiła ceremonialne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jęj ręki. Brühl napół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzył z zachwytem w czarne oczy hrabinęj.

Pierwsza, może nawet druga jęj młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nie tknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasił rumieniec. Białość tę płci podnosił kruczy włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużonemi nieco oczyma popatrzyła na pazia.

— Franiu! — rzekła — idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzalo dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. W. ochmistrzyni poruszając żywo wachlarzem zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi rozmawiać z nim poufale.

Brühl z rękami w tył założonemi szedł za nią raczej niż obok nięj, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blisko. Tęj rozmowy tajemnej, nawet obrazy wiszące na ścianach słyszeć nie mogły. W pół godziny po nięj paż siedział w przedpokoju króla na krzesle i drzemać się zdawał.

III

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych długiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzeć się nie mogli; ale Brühl już daleko zaszedł od pazia, sekretarza do depezy J. K. Mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Pólnocy, którego pochlebcy często równali z królem Słońcem, tamtemu Apollina cześć, temu Herkulesową oddając; zmieniały się postaci, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owém pogrzebaniu radzcy Pauli, którego miejsce tak szczęśliwie zając się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkerem.

Po śmierci starego Flemminga, odziedziczył tajną kancelaryą J. K. Mości. Pokorny i niezównanie greczny, a ustępujący wszystkim Brühl jakimś cudownym sposobem, szeptano sobie na dworze, potrafił obalić dwóch ministrów nieprzyjaznych sobie: Fleurego i Manteufla, ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potem dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatulki J. K. Mości, miał już dawnięj; naostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojęństwo nowe, *Grand Maitre de la garderobe*. Do garderoby tęj należały galerye, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się bezeń tęż obejść wiele innych osób... a on, jakby tęż wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernym u bramy zamkowejj.

Król August Mocny od owych czasów gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie bawił się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużej nieco stać musiał, szukał oczyma taburetu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego ocalając życie Panu, Weiss lejb-chirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiać w zakład głowę za palec. Głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na tęj nodze król nie mógł. Złotyeh to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnej Lubomirskiej. Miłości królewskie wszystkie jedna po drugiejj, złotemi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, teraz księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszłej głowie rodziny książećejj.

Królby się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona, dla odśpiewania głównej roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, przepiękna Faustina Bordoni ze słowiczym głosem, nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrykcji¹⁵ nie uczynił, wyprawiono go do Włoch aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król Jego Mość cierpieć nie mógł; ten Brühl który wszystko tak dzielnie sprawać umiał, uznanym został jako jedyny człowiek, mogący N. Panu spokojność zapewnić. W karnawale więc i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi, oddał uroczyste dyrektorstwo główne akcyzy i podatków.

Naprawdę skromny a obarczony ciężkimi nader obowiązkami młodzieniec, wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał go niegodnym; król August II nieznosił przeciwieństwa, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kassy. Brühl odtąd miał pilnować aby Paktol¹⁶ płynął złotem bez przerwy, choćby pot i lzy razem z niemi sączyć się miały.

Nie był to już ów paź cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedzieć, marszczył się groźnie. W nim jednym znajdował to, czego dawniej w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał jak się grosz wyciąga z tamtąd gdzie go nie ma, jak się może być głuchym gdy trzeba, ślepym gdy z tém lepiej, posłusznym zawsze.

Brühl miał już naówczas z łaski pańskiej kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niej pieścidełko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiero mianowany we własnym domu (pałacem tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój w którym przysiadł na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszej z kobiét popsutych zbytkiem dworu. W kwiecistych ramkach złożonych świeciły zwierciadła, ściany bladoliliowa okrywała materya jedwabna, na kominie, gerydonach¹⁷, stolikach, porcelany było pełno i bronzów, posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl z nogami wyciągnionymi, sparty wygodnie na miękkiej poręczy krzesła, z rękami złożonymi, które z bogatych mankietów pięknymi kształtami się dobywały i świeciły kilką pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy tylko gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy nikt się nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar stojący na kominie, bo tyłu obarczony obowiązkami pan, musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat, mimo pracy i wzruszeń, twarz młoda nie straciła na świeżości, ani oczy żywego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcej nadziei niż wspomnień.

W głębi domu jedne po drugich pocichu zaczęły się drzwi odmykać, Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego co zwykł był przychodzić, ale do którego jeszcze nie przychodzili drudzy.

— To on — szepnął Brühl i podniósł się w krześle — to on...

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawelnianymi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnej opony. Brühl cicho odezwał się: „*Herein*”, i drzwi uniosły się na zawiasach, tak że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą, i choć kolebka ich stała w tajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu jak dziecię kuglarza; lecz niczem ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka na tej masce hieroglifami startymi zapisanej, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego, ani

¹⁵*dystrakcja* — dziś rozproszenie uwagi; daw. rozrywka, przyjemność. [przypis edytorski]

¹⁶*Paktol* — rzeka w Lidii (dziś Turcja), z której koryta w starożytności wydobywano surowiec służący do wybijania monet. [przypis edytorski]

¹⁷*gerydon* (franc. *guéridon*) — mały stolik, zazwyczaj okrągły, przeznaczony do odkładania drobiazgów. [przypis edytorski]

brzydkiego, a jednak niezwyčajnego. W zmarszczkach które nikły gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny co twarzą władaly. Spokojny, wypogodzony, z ustami tak ściętemi, że ich prawie widać nie było; pokorny, stał u drzwi przybyły i czekał aby z niego słowo dobyto.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromnie szyta, reszta ubioru czarna; u trzewików klamry szmelcowane¹⁸, prawie niewidoczne, u boku szpadka z rękojeścią stalową, na głowie peruka która starała się być więcej urzędową i poważną niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów¹⁹, na jednej ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu, zapomniiał obszyć koronką.

Brühl zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła i przeszedł się po pokoju.

— Hans — odezwał się — mamy pół godziny czasu; wezwałem cię dla ważnej rozmowy. Otwórz proszę drzwi, czy w przedpokoju nie ma nikogo.

Posłuszny Hans, któremu drugie imię było Chrystyan a nazwisko Henniecke, drzwi cicho przemknął, rzucił okiem i dał znak ręką że są sami.

— O tém wiész — rzekł Brühl — że N. Pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i vice-dyrektorem podatków.

— Chciałem mu właśnie powinszować — rzekł Henniecke z ukłonem.

— Nie masz czego — odwracając się nagle z miną dobrze odegrywającą zafrasowanie przerwał Brühl — jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

— Które mu podolają — dodał z nowym ukłonem stojący u drzwi.

— Hans — zawołał Brühl — w dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz poprzysiądz mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne; chcesz na złamanie karku bodaj iść ze mną? mów...

— Ale my we dwóch karku nie możemy skrócić — z cichym i zimnym uśmiechem szepnął Henniecke i potrząsnął głową.

— Potężniejsi od nas je kręcili.

— Tak, ale od nas dwu, excellencyo, zręczniejszych nie było. Siła i potęga, to jeszcze nic, kto ich użyć nie umie. Ja wam ręczę, potrafimy.

— Ale ważysz się dzielić moje losy i iść ślepo, z zawiązanymi oczyma?

— Byłem rąk nie miał związanych — odparł Henniecke — zgoda.

— Pamiętaj tylko — chłodno rzekł Brühl — to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Henniecke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

— Przysięgam... ale na co? mistrzu i panie!

— W obliczu Boga — odezwał się Brühl schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach — Henniecke, ty wiész żem szczerze pobożny i żadnych żartów...

— Excellencyo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty to droga rzecz, niejednego życia przypłacił.

— Jeżeli pójdziesz ze mną — dodał Brühl — ja z méj strony ci przyrzekam, że cię wyniosę i z bogacę, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

— Nadewszystko ostatnie — rzekł Henniecke — bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

— Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

— A wiecie dlaczego? — spytał stojący u drzwi.

— Nielaska pana, nielaska Boga.

— E! i lekceważenie pantofla — dodał Henniecke. Rozumny człowiek, na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

— Przecież same padają: a Cosel? Cosel w Stolpen.

— A kto Cosel wyrócił? — spytał Henniecke — przypatrzcie się jasny panie przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowej i maleńki pantofelek, pod którym wielki król siedział.

¹⁸szmelcowany — błyszczący, pokryty złotem. [przypis edytorski]

¹⁹galon — taśma pleciana z nitek metali lub nimi wzbogacana, używana do zdobienia ubiorów. [przypis edytorski]

Brühl zmilczał i westchnął.

— Wasza excellencya od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustannéj pamięci: kobieta...

— Pamiętam o tém — chmurno odparł Brühl — ale... nieczas o tém mówić, Henniecke. Jesteś więc zemną?

— Na śmierć i życie — odparł Hans. Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia, i uwierzcie mi że moja mądrość czerpana w przedpokojach nie gorszą jest od téj, którą się na srebrnych blatach w salach podaje.

Przed wami się taić nie potrzebuję, a dla was to nie tajemnica; Henniecke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznej skorupki, która gdzieś roztluczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przedemną rozwarły. Na akcyzie w Lützen pierwszą moją szermierkę odbyłem.

— Dlatego w sprawie téj akcyzy i podatków, Henniecke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

— Ktoby ich tam słuchał — odparł zimno Henniecke — oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie piszczyć muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę żeby sok wydali.

— Ale czém i jak...

— E! e! znajdziemy środki...

— Skarżyć się będą.

— Komu? — rozśmiał się Henniecke — alboż to my dróg szlabanami nie możemy pozamykać, a tych, co za głośno się odezwą, nie mamy prawa dla spokoju pana, wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?

— Tak, to prawda — rzekł Brühl zamyślony — ale to nie da pieniędzy.

— Owszem to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczone cugle wszystkie — szlachta się zaczęła odzywać, mieszczanie skowyczeć, aż i chłopci sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

— Pieniądzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i terazniejszy karnawał, myślisz że darmo przyjdzie?

— Tak jest, i wszystko co dwór puści spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czém płacić. Pieniądzy — dodał spoglądając na Brühla — potrzebujemy dla pana, a zdałyby się i nam. I waszój excellencyi i jego pokornemu słudze.

Uśmiechnął się zagadnięty.

— To się rozumie, zaczóżbyśmy pracowali w pocie czoła.

— I tyle przekleństw brali na dusze.

— No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizerynych głosów nie słucha. Król musi mieć co mu trzeba.

— A my, co nam należy — dorzucił Henniecke — co Bogu, to Bogu, co panu to panu, a co poborcy to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkim milczeniu rzekł cicho:

— Więc oko miej otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

— Spuście się na mnie — odezwał się Henniecke — rozumiem to dobrze że pracując dla was, dla siebie też pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznej, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając: co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał, i o królu nie zapomniał.

Skłonił się. Brühl po ramieniu go poklepał. — Henniecke... wyprowadzę cię wysoko.

— Byle nie zbyt, i nie na nowym rynku — szepnął Hans.

— A! o to bądź spokojny. A teraz tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecieć to sztuka.

— Ja mam tylko jedną radę, excellencyo — począł były lokaj — wszystko się robi przez kobiety, bez kobiet nic się nie dzieje.

— O, o! — odparł Brühl — są inne drogi.

— Ale ja wiem że wasza excellencya, macie za sobą Padre Guariniego i ojca.

— Tst! Henniecke.

— Milczę, a jednak dodam: czas waszój excellencyi o tém pomyśleć, co kobieca potęga znaczy: mieć zapaśną strunę nie zawadzi.

Brühl westchnął.

— Skorzystam z rady, zostaw to mnie.

Milczeli chwilę.

— Jakże wasza excellencya jest z hr. Sułkowskim — po cichu szepnął Hennieke — nie trzeba zapominać że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni, i że synowie po ojcach następują a Sułkowscy po Brühlach.

— O! — uśmiechnął się Brühl — to mój przyjaciel.

— Wolałbym żeby jego żona była waszą przyjaciółką — wtrącił Hans — na tobym więcej mógł rachować.

— Sułkowski ma serce szlachetne.

— Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś w której bije, od każdej innej.

— A hr. Moszyński! — wtrącił Hennieke.

Brühl drgnął i zarumienił się, spojrzął na mówiącego bystro, jakby chciał dojść czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępłą.

Hennieke miał twarz niewinną i spokojną.

— Hr. Moszyński nic nie znaczy — syknął Brühl — nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

— N. Pan oddał mu własną córkę — rzekł Hennieke powoli.

Brühl zamilkł.

— Ludzie mają złe języki — począł odpocząwszy nieco Hennieke — na pannę Cosel mówiono że wolałaby była kogo innego nad hr. Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

— Tak — wykrzyknął z niecierpliwością — tak; wziął mi ją, wyżebrał, wyintrygował.

— I zrobił w. Exc. największą łaskę w świecie — rozśmiał się Hennieke — stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednej sprężyny, dwie mieć możecie.

Spojrzeni sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niej przeciągnęła.

— Dosyc o tém — dodał — a więc Hennieke tyś mój, rachuj na mnie. Co dzień o szóstej, tylnymi drzwiami... mieć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominację.

Hennieke się skłonił — I pierwszą pensję do podniesionej pracy stosowną.

— Tak, jeśli pomyślisz o tém, aby ją było czém zapłacić.

— To moja rzecz.

— Godzina późna i bądź zdrów.

Hennieke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potem powoli, cicho i niezauważnie się wysunął.

Brühl targał dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

— Na zamku gospodarstwo (Wirthschafft) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?

— Stoi na dole.

— Domino? maska?

— Wszystko gotowe — to mówiąc kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój który ją zawierał mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w tej chwili wszystkie stały otworem. Po między dwoma oknami na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach brązowych, na nim wielkie zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokoła tej szyby srebrzystej kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalie omdlałe, a z zielonych gniazdek wystrzyganych w tysiące form listków wyglądały śmiejące się nieśmiertelném weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, ptaszkami czy kwiatkami? U góry w wiązance siedziało ich dwoje, biędnych, nagich, jak ich Pan Bóg stworzył i ściskali się serdecznie, aby o swęj nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydełka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym stole u zwierciadła stał cały przybór do stroju jakby dla kobiety. W szatach widać było w wielkim porządku każdy strój z całym garniturem,

poczawszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały aby się wszystko zmieniło i zchodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór nie tyle strój, ile domino było potrzebném. W osobnej szafie leżały maskaradowe przybory, wisiały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner chodzący za nim z dwóma świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

— Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, któregom nie miał czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy stojącej w kącie, zasłoniętej skrzydłem otwartém drugiej, która przy niej stała. Brühla oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady szmelcowanej u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany przejrzał się w zwierciadle i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś, na brodzie ogolonej świeżo przylepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą, i mogła obalamucić znajomych.

Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy i szybko schodzić począł.

Port-Chaise, jak naówczas zwano lektykę stała w sieniach domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzód po wenecku z czerwonymi wełnianymi czapkami na głowach i płaszczkach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba też mieli maski na twarzach. Za ledwie z przodu zamknęła się lektyka, której zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne strażę gwardyj, nie wpuszczano nikogo oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął się ciekawy tłumnie, ale odźwierni nastawiali zębate halabardy i odpychali go od wnijscia.

Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistém światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego: sam król u jednego stołu, u innych królewicz z żoną.

Z sali królewskiej do królewiczowskiej wiodły oświecone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otwarło wnijscie i wenecki szlachcic z powagą syna Doży wybiegł z tej kryjówki. W chwili, gdy miał wstępować na wschody kamienne, dywanami okryte, niewiedzieć z kąd zjawiała się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy. W stroju tym ślicznie mu było, jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół zbroiczki, po której biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W ręku trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długimi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jej w dwa esy pogięte zbiegały się w środku i dwiema prostemi marszczkami przedłużać się zdawały po czole. Brühl spojrział tylko na tę maskę nie miłą i szedł dalej ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

— *Signore!* — wołał syczącym głosem — *come sta? va bene?*

Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył z pod maski: zbir palcem wytknął go i stał.

— *A rivedersi, carissimo... a rivedersi!*

I powoli za nim pociągnął. Słychać już było muzykę z sali królewskiej. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powoluteńku, ręka w bok, nogami długimi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczów w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku świateł, od kraszy strojów bogatych, od lśniących dyamentami kobiet oczy ślepy. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mruczało, piszczało, śmiało się, podskakiwało i uchodziło za ledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych polskich strojach z szablami sadzonymi w drogie kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach tylko dla zachowania rozkazu króla, wązki pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Maurów, Hiszpanów, kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw mitologicznych niewieścich z odsłoniętymi wdziękami a zasłoniętymi twarzami, mnóstwo Wenecyan podobnych do Brühla wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcinelli i na arlekinie nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprawnymi kręciły się, niby grożąc bezsilnymi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbieta, Marya Stuart, Henryk IV.... kogóż tam nie było? Król o lasce ze złotą galką powoli przechadzał się zaczepiając kobiety i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudnym, znał je wszystkie dobrze, te przynajmniej, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną piękną miejską, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa: chińskie, japońskie, tureckie i t. p. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gospożą dla dostojnych gości.

Poza salami królewskimi, także same stoły trzymały królewiczówna Józefa ze swym dworem.

Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath: owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałej panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesoła, dumnie z góry patrząca dziewczeczka, cała brylantami okryta, której pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystymi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniej więcej przezroczystymi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białej szyi albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczówna Józefa mało w tej zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania teściowi i mężowi. Dumna jej postawa, twarz surowa i nie piękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy że nie lubiła płochych zabaw, że wołała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla drugich, poglądała bacznie na tych co się około niej obracali. W atmosferze, która ją otaczała panował chłód i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karcił wzrok pani. Nawet wśród maskarady ostatniego wtorku, Józefa nie zapomniła, że była córką Cezara.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał tu też królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazałej, ale posągowato chłodny i ceremonialny. Bawiło go to że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczym. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufalego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było, mimo młodości, pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcej jeszcze niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, pierwszy faworyt następcy, stał poza nim gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcej był panem niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jej nie czuł. Sułkowski przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą, na wirujące dokoła figury poglądał.

Wdziękiem też twarzy przechodził króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czystości do pospolitego Niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorzowane maseczki zaczęły J. K. Mość, z góry poglądającą okiem rozczarowaniem na wdzięk, które już dłoń uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało nie poznany, unikał odzywiania się, szukał kogoś oczyma chciwymi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się niepostrzeżony po

salach za stołami, aby się przekonać czy ci, których szukał nie znajdują się przy gospodarstwach. Nie uważał że zbir szedł za nim zdala.

Piękna budowa tój herkulesowej postaci i swoboda z jaką się posuwała, wcale tego co spotkała nie zdając się być ani ciekawą, ani tém onieśmioną, ściągała oczy kobiet. Parę maseczek zabiegło drogę zbirowi, który z góry na nie obojętnie popatrzawszy, szedł dalej. Jedna czy dwie chciały go intrygować, szepnęły im śmiejąc się ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwającego się popatrzał i rzekł do Friesena: — Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadyerów. Kto to taki?

Nikt jakoś na pewno odpowiedzieć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobieta, o kiju, okryta szeroką jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, koralami, świecidłami. Pół-maseczki przedstawiało żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i piszcząc zażądała dłoni do wrózenia.

Brühl nie miał najmniejszej ochoty dowiadywania się przyszłości: chciał się cofnąć, ale cyganka domagała się ręki koniecznie.

— *Non abiate paura!* — szepnęła — ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoni wyciągał.

— Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki — śmiejąc się zawołała cyganka — zdejm...

U kolumny za którą stali palił się w górze sześcioramienny świecznik, cyganka podniosła białą dłoń, obejrzawszy rękę i zaczęła głową potrząsać.

— Wielkie losy, świetne losy — rzekła — powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

— To zagadka? — przerwał Brühl — jakże powodzenie mieć, a nie mieć szczęścia...

— A! to tak łatwo jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu! — zawołała zmienionym głosem stara. A wiesz dlaczego szczęścia ci zabraknie? bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

— Ty nie kochasz nikogo.

Zmilczał potrząsając głową.

— Cóż dalej, maseczko; co dalej?

— Jesteś niewdzięczny — szepnęła mu na ucho — jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

— Ciesz się mnie to — piszcząco rzekł Brühl — iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: Brühl. Wyrwał rękę co prędkiej i sam w bok się rzucił, cyganka go zatrzymać chciała: zniknął. Być może iż miło mu było odetchnąć swobodniej w tym tłumie, niepoznanym, niezaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jój strój, niby wschodni, jakąż musiał oznaczać królowę... Semiramis czy Kleopatrze, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazyja naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznej. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa też Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jój było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z lamy złotej, na którą przejrzysta od korony na głowie spadała zasłona, z naszyjnikami ogromnych ametystów na białej szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym na przemiany ametystami i dyamentami; królowa przytém miała figurę, ruch i chód prawdziwej władczyni serc i ludów.

Na utoczonej szyi ciemne pukle włosów lekko złotym pudrem posypanych, wiły się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałej dającego się domyślać fizyognomii. U maleńkich różowych uszu wisały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszczała.

Przechodzącą zwolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła obojętnie spoglądając: Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją rękę przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco: Wenecyanin wyciągnął rękę, podała mu małą piękną dłoń od niechcenia... szybko nakreślił na niej dwie litery.

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawszy chwilę szła dalej, Brühl jakby nie mogąc się oprzeć pociągnął za nią

powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i widząc go uparcie idącego za sobą, stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była nie zajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Wenecyanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jej dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł jak H. B. paluszkami na niej nakreśliła i rozśmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomarańczowe drzewo.

— Że ja was poznałem — szepnął — hrabino, to nic dziwnego, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że wy mogliście mnie poznać...

— W stroju jednego z Rady Dziesięciu — odezwał się głos z pod maski, a komuż on stosowniejszy jak wam?

— Hrabina jesteś zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

— Lecz piękna jak bóstwo starożytnie z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

— Cóż dalej? — zapytała maseczka — mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

— A cóż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę! — zawołał Brühl głosem drżącym — ile razy spojrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniew, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

— Bardzo poetycznie! — szepnęła kobieta. Cóż dalej?

— Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień i godzinę, w której widziałem was po raz pierwszy — mówił czule Brühl — ale spojrzę i jestem złamany. Macie nademną władzę?

— Ale czy ja mam? — odwracając się i spoglądając ku niemu chłodno odezwała się kobieta.

— Potrzebuję przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgłaś przed ołtarzem.

— Ja nie potrzebuję przysięgi — odparła spokojnie kobieta — ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje.

Patrzyła nań długo.

— Moja miłość...

Kobieta przerwała mu uśmiechem.

— Brühl — rzekła — wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego, miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widzimy co dnia, rozplamione o świcie a gasnące wieczorem. Ja takiej nie chcę.

— Moja dała wam dowody trwałości — mówił Brühl żywo — zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jej odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

— Miłość to, czy ambicyja? — spytała kobieta — w tobie, Brühl, ambicyja wszystkiemi władami.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsnął głową.

— Nie przeczę, że nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być, choćby strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, sparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła:

— Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobą byłam szczęśliwą; jedne mamy myśli i charakter, ale tak lepiej... mąż i żona, to pojedynkujący się na śmierć wrogowie: my możemy być sobie przyjaciółmi wiernymi.

— Przyjaciółmi! — podchwycił Wenecyanin — jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela.

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jej zaigrały światłami brylanty i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po rękę Brühla, spartęj na poręczu.

— Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem; więc służą wzgardzonym.

— Mąż kochankiem? — rozśmiała się maska — gdzieś to słyszałaś? Dwa te wyrazy klóć się z sobą. Mój mąż! mój mąż! ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydzę, ja go niecierpię!

— A poszłaś za niego?

— Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodną z nim, jestem sobą i cała zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moją.

— A spotkają się kiedy gwiazdy nasze?

— Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.

— Mówisz to hrabino tak zimno, tak obojętnie.

— Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy Kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.

— Lecz jakże w nie uwierzyć nie widząc.

— A czémże wiara? — rozśmiała się piękna pani, jak gdyby chciała przypomnieć Brühlowi łacińskie przysłowie: „Kto kocha, ten czuć powinien i przeczuwać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go niewart.”

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko, i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśliwy razem rozmyślając, gdy Poliszynel do niego przyskoczył, osoblwszy zaprawdę, bo mimo stroju Pulcinella, guzy u sukni, mający z rubinów perłami osadzanych. Zdawał się biedz tu szukać kogoś, a zastawszy tylko Wenecyanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzeć pod maskę, ale Brühlją ucisnął ręką. Zwiając się począł koło niego z udaną trzpiotowością.

— Cavaliere nero! cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? he, słówko.

— *Sono un forestiero...* Addio — syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale Pulcinello, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał z oka. Wkrótce oba się zesli pod kolumnami.

Pulcinello spał się do ucha zbirowi.

— Kto to był?

— Brühl.

— A! a! — wyrwało się z piersi Poliszynella — odgadłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... jesteś pewnym?

— Ja? co go więc od was panie hrabio niecierpię i brzydzę się nim. Jabym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową z daleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błędził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziej, a ci, co jak Poliszynel szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt precisnąć się mogli. Piski i śmiechy, głuzyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunąwszy się do gospodarstwa królewiczowej. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.

— Jeżeli chciałeś być niepoznanym — odezwał się po włosku — toś się wcale nie-osoblwiwie zamaskował. Któżby cię nie poznał panie dyrektorze akcyzy?

I począł się śmiać.

— Po czém? — zapytał Brühl.

— Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku.

Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niej: znikła.

Byłby przysiągł, że to Padre Guarini, ale cóżby jezuita robił na maskaradzie??

Trochę zmieszany tém, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on odgadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

— Należy się wam powinszowanie... Brühl.

— O! nie ma mi czego wieszować.

— Wiem, sięgacie wyżej myślą i ambicyą, ale po wschodach iść trzeba, inaczej *non si va sano*. Dosięgłeś już bardzo wysoko, a jeszcze się nie spał na ramieniu kobiety, która czasem, jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

— O! wiem do kogo westchnienie, i co się w sercu twém dzieje. Lecz niewdzięczną królową trzeba zapomnieć i szukać innej — mówiła wyniosłego wzrostu pani.

— Szukać, aby, znalazłszy, być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

— Wzgardziłaby chyba taka, coby się na tobie nie znała, a téj i żalować nie powinienes.

Pochyliła się do jego ucha i szepnąwszy mu coś, znikła w tłumie.

Szedł dalej. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jęj z daleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jęj błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszną. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i nie mieszając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań z góry.

— Nieprawda — spytał — smakowała ci przedtém królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiej? Przyznaj się!

Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsł głową.

— To posażna dziewczyna i w fartuszkach komus dużo brylantów przyniesie... dla ciebieby się zdała... wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie, ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w stronę przeciwną. Zbir wszakże wiedzieć musiał, że żadne jego słowo, nie pójdzie marnie, pół głosem mruczał ciągle:

— Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, której puszkę nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kąsek ministeryalny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewic za pobożny... sięgnij ręką, a weźmiesz. Co potém nastąpi nie wiem... patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jęj mówią, aż strach!! Takięj żony trzeba takiemu, jak ty, człowiekowi.

Hassego wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta, jak ty, musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partyką naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes*??

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla, poznać było można, iż to śpilkowanie bezlitośnie dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go później niecierpliwie prześladowca, ale Wenecyanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana.

Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu, Padre Guarini, królewicowej, następcy i katolickiemu dworowi ich, głowy posypywał popiołem.

IV

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, któremi król bawić się próbował; mimo wspaniałości, jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozśmiał się; nie życzył sobie sprawiać wesela: czasy były ciężkie, a królewskie gody, takiego pana godne, musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała; był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnię czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewczyna była dlań powszednim obrazem: w pamięci jego przesuwał się cały szereg tych istot promieniejących chwilę, a tak rychło uwiedłych. Lubomirska była starą, Cosel zamkniętą, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Słał więc do Afryki uczonych i budował.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowém-Mieście, przerobioném świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościoł, budowano pyramidy i pałace.

Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się: kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował że mu spowszechniał, a Drezno nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, możeby był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je na nowo olbrzymio z ciosu odbudować; ale pomysł był już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Drezno kocha, w Dreźnie tęsknił za Warszawą: nigdzie nie było dobrze. Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Hubert'a, którego obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba obozy myśliwskie saski i polski, a nie było mało tęg dworni, począwszy od paziów łowieckich aż do łowczego od truflif. Wielkim łowczym dworu był von Leibnitz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska J. K. Mości, które tylko przeciw niedźwiedzim i dzikom służyły.

Ale król znajdował S. Huberta zużytym i myślistwo zbyt jednostajnym. Niepokój jakiś go ogarniał. Na nowy rok zwał go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapki szkaradne. Aktorki z Belgii przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarcie karnawału wrócił August do Drezna dnia 6 stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladłe. Sądził, że się zrywaniem sejmu w Warszawie lepiej zabawi. Karnawał został na opiece królewicza i Padre Guarini, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasyczał nigdy niedające się napelnić kassy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcemi. Włosi, Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli.

Brühl znajdował, że N. Pan miał słuszność, i że najlepszymi sługami byli ci, których cały los zawisł od króla.

Dnia 10 stycznia, dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwość i znużenie, zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczówna Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzył w oczy i uśmiechał się wdzięcząc. Wtém wszedł Brühl, były jeszcze papiery do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy, bystro spojrzął król i postąpił ku niemu kroków parę.

— Brühl... pieniądze?

— Są N. Panie! — rzekł kłaniając się zagadnięty — rozkaz W. K. Mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

— Patrz — zawołał do syna — patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk z posłuszeństwem syna, wpatrzony w twarz ojca, chwycił każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

— Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawnoby już w łeb wzięła ich bałamutna rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saxonii — dodał król. Ci wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozyusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi.

Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmie mruczeć, gdy rozkazuję... Dość tego.

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało: Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba czekała już w przedpokojach. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony Padre Guarini. Król wdzięcznie żegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem i zszedł do gotowych powozów.

Pocztylionowie siedzieli na koniach, dwór spieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytymi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczenie, na których król spojrzął tylko i kazał im powiedzieć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho było na zamku i w Dreźnie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopóki król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nierozbawionego niczym nie rozpoczęła się nanowo.

W chwili, gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardyi z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański świeżo okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwa weszli do dolnej sali.

Twarz Brühla wyrażała już najgorętsze współczucie, najżarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie: Sułkowski dosyć był zimny.

— Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę — zawołał odjeżdżający z zapalem: słodycz głosu dorównywała wyrazom.

— Słuchaj Brühl — przerwał Sułkowski — ja także przypominam ci nasze *Pacta Conventa!* W złej i dobrej doli, jesteśmy i pozostaniemy przyjaciółmi.

— Czyż wy to mnie przypominać potrzebujecie — zawołał Brühl — mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność.

— Dajże mi ich dowody.

— Pragnę tylko zręczności, nastęrczcie mi ją, do nóg wam padnę! — przerwał Brühl — proszę, błagam; ale hrabio! kochany hrabio! jam wasz! wy nie zapominajcie o mnie.

— Wiecie, co mam na sercu.

— Kolowrathównę! — rzekł śmiejąc się Sułkowski. — *grand bien vous fasse*, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

— Ale ona?

— O! nie lękaj się, nikt ci jej tu nie zbałamuci. Trzeba tak wielkiego mężstwa jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

— Jedno i większe od tego mnie minęło — westchnął Brühl.

Sułkowski poklepał go śmiejąc się po ramieniu.

— Niegodziwco — parsknął — albo się co we dworze ukryje? Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

— Ale mój hrabio!

— O! nie mówże mi tego — przerwał mu Sułkowski — znacie się z Moszyńską i w lepszej jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl nic nie mówiąc ramionami ruszał.

— Serce moje ma Frania Kolowrathówna.

— A ręka na ciebie czeka i nic nic nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas téż Frani pod czepek, bo jej się strasznie oczy świecą.

— Jak gwiazdy! — krzyknął Brühl.

— Cóż powie Moszyńska na to?

Wtém Brühl jakby się ocknął pochwycił znowu Sułkowskiego rękę.

— Hrabio — rzekł — nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się czym mu dosyć okazał moją część i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszej świętej i czystej królewiczowej: powiedzcie mu...

— Wy o nas nie zapominajcie u króla — dodał Sułkowski, — ja o was nie zapomnę u mego pana. Zresztą mój Brühlu nie tak to ty jesteś tam bez opieki jak mówisz. O. Guaryni cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

— A wszystko to niczém jeśli was mieć nie będę — dodał Brühl — oddam Guaryniego i Kolowrathową i jeszcze coś dodatku, za jedną łaskę waszą.

— Tylko nie Moszyńską — zawołał Sułkowski i śmiać się począł.

— A teraz, jedź szczęśliwco, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatriotom niedźwiedzim.

— A kompatriotkom? — zapytał Brühl.

— Jeśliby tam która o Sułkowskiego spytała... ale wątpię... niemki wolę.

— I ja dodał — Brühl.

Byli już u drzwi: Sułkowski go przeprowadzał — *Eh bien, à la vie à la mort!*

Ścisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Zdawało się być stojącego na dziedzińcu padre Guaryniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym długim surducie, który zakrywszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

V

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Z rana powrócił Fryderyk z łowów w Hurbertsburgu, a z nim nie odstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze, i nieporównana Faustina śpiewać miała. Królewicz jak ojciec był wielbicielem jój głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych co się nie mieli szczęścia jój podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszej niż w kościele, i ktoby kichnął, mógł być pewien że w niej śmiertelnego mieć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofidę*, Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

Godzina była poobiednia: odziany jedwabnym przepysznym szlafrokiem, królewicz w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tém błogiém, jakie daje posłuszny żołądek i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzął na przyjaciela, uśmiechnął się mu i nie mówiąc słowa, znowu dym wonny ciągnął.

Przyjaciel a sługa patrzył z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszczęśliwszym, mówił jak najmniej: dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się o czém. Czasami spuszczone głowa podnosiła się. Spoglądał w Sułkowskiego jak w tęczę wlepiając oczy, Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem, i odzywał się.

— Hm! Sułkowski?

— Jestem.

Kiwnął głową i na tém się kończyło. Kwadrans upływał, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku pieszcząco. Hrabia odzywał się świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko i to gdy był zmuszonym, nie lubił nic nie spodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichém korytem jednostajnie, nieprzerwanie równém.

Poobiednie godziny gdy nikogo nie przyjmował, lub tylko poufałe i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były. Z rana musiał przyjmować, słuchać, stać, kłaniać się, podpisywać, czasem się dziwić a niekiedy trochę pogniewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkoszném był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki marząc błogo, i wieczera dzień się kończył.

Nigdy mniej trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu, byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople wody podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się sista i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski przez okno coś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Oczy królewicza poszły za nim.

— Sułkowski! — odezwał się cicho.

— Natychmiast wracam — odparł biorąc za klamkę hrabia i wysunął się. W przedpokoju dwaj paziowie i służba czekała.

— Nikogo nie wpuszczać bezemnie — odezwał się Sułkowski: wszystkie głowy się skłoniły.

Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko wschody i we drzwiach stanął zdziwiony.

— Brühl? ty tu?

Okręcony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębły, zmęczony stanął przed nim w istocie ulubieniec Augusta II, blady nieco i pomieszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztylioni zmęczeni posiadali z nich i stali jak rozbici ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie, Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko że co najrychlejš chce wniknąć i spocząć. Przybycie to tak coś tajemniczego miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski mocno poruszony co prędzej ku sali dolnej pospieszył. Służba dworska zobaczywszy Brühla cisnęła się do niego, odprawiała ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucić ubranie. Hrabia stał czekając choć słowa.

— Brühl, na miłość bożą... z czém przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochę niecierpliwością.

Duma nie dozwalała mu nalegać... czekał podparwszy się obok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło, jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

— Król a pan mój najmiłosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało wrażenie do określenia trudne, trwoga i radość zarazem; ruszył się jak gdyby chciał już biec i wstrzymał.

— Nie przybył przedemną żaden kurier z Warszawy?

— Nikt.

— Nie wiecie więc nic? Królewicz?

— Nie domyśla się ani przeczuwa — rzekł Sułkowski, i powtórnie ruszył się jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

— Należy natychmiast oznajmić o tém królewiczowi — odezwał się — lecz jakże się to stało! Król był zdrów...

Brühl wdychał ciężko.

— Szesnastego przybyliśmy do Warszawy — rzekł cicho. Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kurierów, przyjęcie było świetne, mimo szkaradnej pory, działa grzmiąły, regiment wielkich muszkieterów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Karetą zatrzymała się przed gankiem pałacu saskiego. W chwili gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzelśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie.

Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym.

Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza, skarżąc się że czuje jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina.

Pomimo to...

— Skracaj — zawołał Sułkowski, królewiczowi donieść kto może o twém przybyciu.

Brühl zbliżył się do niego.

— Hrabio — rzekł — zdaje mi się że nim cokolwiek przedsięwzmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca, to wrażenie jakiego dozna. Czyż nie należałoby go przygotować?

— Przygotować? jak?

— Jestem tego zdania — wyszeptał Brühl cicho — iż bez porady O. Guaryniego i królewiczowej, nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrział nań ze źle pokrytém nieukontentowaniem.

— Ale, zdaje mi się — odparł — że królewicz w tém nie potrzebuje ani pomocy Najjaśniejszej królewiczowej, ani duchownej pociechy spowiednika.

— Jabym sądził... — rzekł zmieszany Brühl i spojrział na drzwi.

Otwierały się one właśnie i O. Guarini wchodził. Zkąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domyślcć. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną mimo zwykłego jej wyrazu, który mu trudno było pokryć: otworzył ręce szeroko, jakby go chciał uściskać. Brühl byłby może jedną z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek nie potrzebny. Postąpił krok tylko i skłaniając głowę, rzekł:

— Król nie żyje!

— *Eviva il Re!* — odpowiedział cicho Guarini podnosząc oczy do góry — wyroki boskie są nie zbadane.

— Wié już królewicz?

— Nie jeszcze — rzekł sucho Sułkowski, który na księdza rzucił wzrokiem nie zbyt przyjaznym, ani nawet tak pokornym jak Brühl i drudzy. Guarini téż jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

— Życzeniem mojem jest oszczędzając o ile możność królewicza czułość — dodał Brühl — naradzić się z N. królewiczową.

Guarini skłonił głowę, a Sułkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie wyrażające niezadowolenie.

— Idźmy więc wszyscy do pani — rzekł sucho — bo chwili niema do stracenia.

Brühl spojrział na swój ubiór podróżny.

— Nie mogę się tak przedstawić — odparł — idźcie wy, panie hrabio z ojcem Guariniem; ja suknie każę przynieść do zamku i przebrać się muszę.

Sułkowski w milczeniu przyjął ten wniosek O. Guarini potwierdzając go skinieniem i zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za Jezuitą Sułkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się sparł na rękę i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże, nie trwały tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdyner stał jakby na rozkazy czekając.

— Proszę was, pazia Berlepsch'a do mnie, a żywo...

Ruszył się posłuszny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany, wbiegł chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl stojący u drzwi, położył mu rękę na ramieniu.

— Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypaplań się że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrział w oczy mówiącemu, kłamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dokoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiej, po wschodach słychać było żywe kroki: zbliżyły się one do drzwi i męczyzna młody jeszcze, pięknej twarzy, na której szyderstwo i ironia się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną excellencyą, odezwał się:

— N. królewicz przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszém, żąda abyście natychmiast przynieśli mu depezę.

Brühl udawał zmieszanego.

— Nie jestem ubrany.

— Jak stoicie.

— Czy takie są rozkazy?

— Co do słowa.

Spojrząwszy jeszcze na swój strój Brühl ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia.

W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał.

W téj chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

— Przynoszę W. K. M. najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król, a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę jak oślepiały: zakrył sobie oczy.

Chwila milczenia była z obu stron: Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania i wskazał aby się podniósł.

— Brühl, kiedy się to stało? jak się to stało?

— Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precyoza i droższe nad nie akta przywożę sam i składam u nóg W. K. Mości.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie pokłękł znowu i udał że płacze: chustką okrywszy oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i na prawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewne łzy lać zaczął.

— Mów mi Brühl jak się to nieszczęście stało! — zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie począł opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jęj cały, przytomność króla, stoicyzm i spokój z jakim umierał. Naostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widocznie cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył.

Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniej woli. Królewicz spojrział na Brühla i westchnął.

— Stanie się zadosyć żądaniu i radzie niezapomnianego rodzica! I ręce podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał roztwarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi do komnat królewiczowej prowadzące otwarły się i czarno ubrana Józefa, Sułkowski, ojciec Guarini procesjonalnie weszli.

Jakież było zdziwienie ich widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podróznem, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk łkając jeszcze rzucił się w objęcia żony, która płakała ale wedle prawideł hiszpańsko-austryackiej etykiety, która i formę żalu i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sułkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął: mieliście czekać na nas.

— Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

— Kto?

— Watzdorf.

Sułkowski zdawał się sobie notować to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wydawały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą i jakąś obawą ciężaru jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który tać się nie myślał. Żal królewiczowej Józefiny był przybrany więcej niż rzeczywisty, a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało. Na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę; Sułkowski był zadumany ponuro, jak ten, który przychodzi do władzy i rachuje jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet w obec pani, której winien był poszanowanie. O. Guarini załamane trzymał pobożnie ręce pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudowany. Brühl nie zapominając o tém, iż powinien być pogrążonym w boleści, nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściej spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczówna kilka słowami pociechę starała się wlać w męża pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski nie wyczekując dłużej, ośmielił się zbliżywszy podać radę, aby zwołać najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły Wielkiego Augusta.

Józefa spojrziała na natrętnego doradcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z O. Guarinim, idącym za nią w tój samėj postawie, w jakiej go przed chwilą widzieliśmy.

Między pozostałemi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał, królewicz dawać ich nie śmiał; Sułkowski najśmielszy poruszał się z pewną niecierpliwością. Fryderyk miał jeszcze twarz zakrytą chustką: korzystając z tój bezwładności jego Sułkowski wskazał Brühlowi by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcej niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za kłamkę, wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim: jakby przeczuwszy to, odjął chustkę od oczów królewicz i obejrzał się po pokoju.

— Gdzie Brühl?

— Wyszedł.

— Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nie śmiał; wychylił się za drzwi, szepnął coś i powrócił.

— Trzeba po królewsku i po mężku znieść co Bóg zesłał — odezwał się w tonie poufałym. — Królowie nie mają czasu oddawać się smutkom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

— Tajna rada się zbierze natychmiast...

— Więc idź i przewodnicz jój, ja nie mogę — rzekł królewicz — i niech tu przyjdzie Brühl.

— Ale do czegoż tu Brühl potrzebny? — szepnął z wymówką Sułkowski.

— On? na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go mieć: niech przyjdzie.

— Posłano już po niego — poruszając ramionami odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

— Ale nie gniewajże się Józku — płacząco dodał Fryderyk.

W chwili gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiej ozwały się wszystkie jękiem żalobnym. Królewicz padł na kolana i modlić się zaczął, Sułkowski poszedł za jego przykładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zléwały w ponury chór, któremu szmér i wrzawa miasta rozbudzonego żalobną nowiną towarzyszyła.

VI

Właśnie gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną *Cleofidę*. Przepych z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu; czarowna maszynerya teatru, zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną, w całym znaczeniu tego wyrazu, na scenie, za kulisami i daleko dalej niżeli one sięgały. Signora Bordoni choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owjej epoki, Jana A. Hasse, mogła była o nim zapomnieć. Małżeństwo to, nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klasycznej Włoch ziemi.

Gdy powóz wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niej przy scenie, i zrzuciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszej młodości, ale, mimo swjej włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, nie eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztopiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posągowych kształtach, jakby energicznym dłutem Michała Anioła wykutych z jednej bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędze. Wszystko w niej było z jej charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini co skinieniem brwi Olympem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny bujny jak grzywa arabskiego konia... W twarzy mimo klasycznej piękności rysów, więcej było grozy i siły niż niewieściej słodyczy. Czarne brwi nieco za wyraziście zarysowane marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały zębami jak groźbą. W całej niej znać było nawykłą do panowania, do hołdów, do rozkazywania istotę, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwiwnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atłasem, a koronkową zasłoną obwieszona tualeta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pajak wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo włoski, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar stojący w kąci... rzuciła się na sofę, napół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swjej sukni szerokiej, w której przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna się nie poruszyła, spojrzała tylko i pół uśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego, młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowej. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energią włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi, długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratic*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół oddając pokłon obojętnej Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swjej sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

— Angelo — zawołała Faustyna — biegasz za temi obrzydliwemi niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe! jak można w niemce widzieć kobietę. Spójrzże na ich ręce i nogi.

— Signora! — rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie. — *Signora non e vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki — śmiejąc się przerwała Faustyna — że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiem niebem, włoskimi twarzami i sercem włoski... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań a ręką dała znać dziewczętom służebnym ażeby odeszły.

— *Ingrato!* — szepnęła cicho — pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potem oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się niechcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już Albuzzi? — spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosną, ani o twoją Apollinową piękność; tylko, tylko jój, niecierpię i ciebie, Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spójrz na zégar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz: był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscellency — zawołał. Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety — dodała — ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy puciołowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwykajnego; Faustyna która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imię mu było Jan, jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovaniego przerobiła, i dała mu przezwisko *Piccolo*.

— *Piccolo?* czyś oszalał! co tobie? — zawołała.

— Król umarł, Król August Wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło co żyło w teatrze. Większa część artystów mających grać w „Cleofidzie“ już napół była ubrana. Albuzzi wbiegła nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jęj uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w nięj było zdrobniałe, a żywość tylko tém większa.

Za nią z jasnym włosem Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych ledwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż a pół jeszcze bledłość okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy: — *Il re e morto!*

Niemożna było się zrozumieć, ni usłyszeć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcej niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku nięj jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie chciała się wydać z tém co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów! — zawołała rozkazująco.

Ale jęj nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.

— Wszyscy do domów! — powtórzyła Faustyna — niemamy tu co robić, a pewno nie rychło grać będziemy.

Sama też zbliżyła się do sofy i zdawała chcieć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozplęwać i wychodzić szemrząc. Albuzzi zamyślona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrzała przez ramię na Faustynę i zwolna wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się niewidzieć podżyłego mężczyzny, który stał nauboczku i poglądał przez okno na ciemność.

Kaszlnięcie dało jęj znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse, z imienia mąż Faustyny.

— Tak — rzekł obojętnie Niemiec, czystą i piękną włoszczyzną.

— O czém myślicie? czy już żałobne Requiem piszecie dla nieboszczyka?

— Prawieście odgadli — rzekł poprawiając peruki kompozytor — myślałem czy msza którą ułożyłem dawno *Sulla morte d'un eroe*, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal w muzykę się obraca.

— A w co my się teraz obrócimy! — westchnęła Faustyna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli, Hasse chodził ręce włożywszy w kieszenie z głową spuszczoną. Stał potem przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać — rzekł spokojnie — Hassego niełatwo kto zastąpi, choćby i Porpora. Faustyny — nikt.

— Pochlebco — rzekła włoszka. Hasse stary będzie śpiewać lepiej jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zagaśnie.

— Nie tak prędko — odpowiedział zamyślony Niemiec — wy to lepiej wiecie ode mnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarżównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się rozśmiał. — *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa?* — szepnęła zadumana. Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim. Promień myśli jasnęj przebiegł po jęj czole.

— Biedny stary August nie żyje — rzekła zniżając głos — radabym mu piękną powiedzieć mowę pogrzebową a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył. — Mów pogrzebowych mu nie zabraknie — rzekł głosem prawie niedosłyszczanym — ale przyszłość inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saxonia odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym — zawołała Faustyna — mógłbyś być kiedyś szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą... Błask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał cały brylantami okryty; ale kraj łzami te dyamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreźnie, a jęki po Saxonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— *Tace*, milcz — zawołała — nie dam ci nic mówić na niego: brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie — rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią — całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jej głosie i starczyło mi, gdym go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamysłony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, poznać i zawołała aby wszedł.

Z pewnem wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał Zbira na maskaradzie.

— Myślałem — odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny — że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu — mówiła włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami...

— Biędny król! — westchnęła Faustyna.

— A! — pochwyił złośliwie Watzdorf — żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrział ukradkiem.

— Cóż teraz będzie? — spytała włoszka.

— Mieliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepszą.

Pierwsze w niej role grać będą: córka Cezarów, Padre Guarini, Padre Salerno, Padre Vogler i Padre Kopper, a w dodatku jaki Frate... nazwiska nie zgadnę.

Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse, pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął: — dosyć! dosyć! a nuż kto pode-drzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku? — zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... no nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat Majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

— Wiecie, ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzałam.

Zal mi było biędaka: wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pręgierzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę.

Plakałam patrząc na biędnego człowieka. Siedzi w Kaspelhauzie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

— W istocie to ciekawa historia, signora Faustina — odezwał się szydersko Watzdorf — ale wiecie, kogo ja więcej żałuję, niż majora d'Argelles, tego, który się tak okrutnie i nieludzko mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na włoszkę nieulekły wcale.

— Signora Faustina — rzekł — teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakżeście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głową wstrząsa, i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc — dodał — jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niej chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

— Zapomniałem — rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny — jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turynii, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął. Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno! milczę.

Faustyna była zmięszana.

— Signore — rzekła, zbliżając się do niego — jesteście niepoprawni. Tu z nami nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam gróźb żadnych — westchnął Watzdorf — ambicyi innéj nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Koenigsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O! bogdajbyś nie był prorokiem! — rzekł Hasse, składając ręce. Myślcie, co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jéj między ludzi nie rzucił... — odpowiedział już we drzwiach Watzdorf — A zatém dobrej i najlepszej nocy państwu!

I zniknął.

— Nie ma wątpliwości — odezwał się Hasse — że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi nie ma wolnej w Koenigsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

VII

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizyognomię miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żałoba, zaledwieby w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Okolo zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykły, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardyi i szwajcarów pozostał niezmieniony. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żałoby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuryera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonił go oczyma i szeptano sobie dokąd i poco mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Koenigstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl ta sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłusznym nawet po zgonie, aby się ważył coś począć z siebie i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe? tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku, koło niéj było cicho. Wiedzano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precyoza i całą tajną królewską kancelaryą. Co się działo na zamku i w pałacu na Teschenbergu, o tém z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie, komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy się już radzcą zwał, pocichu jeszcze tym imieniem mianowano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do Brühlowskiego na Nowym-Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył do jak wysokich dojdzie zaszczytów, Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną służebną, która naówczas nie miała za sobą nic, oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radczyni Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całym ślady pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana, męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jęj pozbywszy, ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmując się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać dworak, ubrany wykwintnie, choć już cały w czerni, średniego wieku i żywych oczów roztropnych.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które, jak koła mijających się wozów, pochwyć i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i zażył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrział.

— No, jakże myślisz; co będzie? — zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

— Nic nie myślę, czekam i patrzę — odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

— Brühl? jak ci się zdaje?

Spojrzeli sobie w oczy...

— Co mówią? — spytał Hennicke.

— Każdy mówi to, czego by sobie życzył: jedni, że Brühl wypędzą, a bodaj do kalkulacy pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi.

A wam jak się zdaje?

— Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje — odparł Hennicke — jeśli Brühla wsadzą, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu nie stoję jeszcze tak wysoko, abym padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

— To rzeczywiście jedyna rozumna polityka wyczekiwanie, a jak najmniej się mięszać do rzeczy i stać sobie na boku.

— Tak! tak panie radzco Globig — z pół-uśmiechem dodał Hennicke wstając z krzesła — naprzód się wyrwać niedobrze, w tyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum.

— Ale — rzekł ciszej — między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba... stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw młodziej innej, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadaniną, że... (zbliżył się do ucha), że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt, i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie J. K. Mości Brühla I-o, które aby jak najdłużej trwało, Boga błagajmy. Obu nam panie radzco, będzie z tym bardzo dobrze... ale wy pewnie z zamku? na Boga, co w zamku? co słyhać?

— Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żaloba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowej, Sułkowski na straży stoi od rana, a Brühl nie wiem nawet, co się z nim dzieje...

— Znajdzie się! — szepnął Hennicke.

— Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nie rada.

— To ją Brühl zrobi królową... — rozśmiał się Hennicke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, oba rzucili się patrzeć; oddział gwardyi już z krepami na rękawach i pookrywanymi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberyi wielkiej wchodził do kamienicy. Hennicke rzucił się ku drzwiom... Globig wziął za kapelusz... Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z maleńkim biletem w rękę. Hennicke rzucił nań okiem, a Globig z za niego utopił także wzrok ciekawy

w karteczce; nie mógł jęj jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni; zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilką cichemi słowami.

Zostali znowu sami.

— Nie ma w tém tajemnicy — odezwał się Hennieke z uśmiechem — potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymiać zasięki. Nie ma ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze oba.

— Hennieke... spodziewam się, że my z sobą zawsze.

— Nawet gdyby padać przyszło? — rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

— A pocóż — odparł szybko Globig — owszém, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć, to razem.

— A gdy padać, to kulakiem w kark? — spytał Hennieke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha! — podali sobie ręce.

Hennieke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu! — rozśmiał się Hennieke. Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, kłaniając się.

— No, panowie! cóż się dzieje? co? padamy, czy idziemy w górę?

— A niecierpliwi! — krzyknął gospodarz — czekajcie.

— Gdy idzie o skórę — odparł przybyły.

— Panie radzco Loss, nasze skóry wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzeniaby nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?

— Co? to co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz? — syknął Hennieke szydersko — Sułkowski katolik w protestanc-kiej Saxonii nie może być prezydentem rady, chyba się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, królby mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

— A wiesz, że masz słusność — przerwał Globig — mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tém — zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu — że N. Pan może zmienić prawo.

— Bez zwołania sejmu? — spytał Hennieke.

— Chociażby... jest tu panem — mówił Loss — to przecież nie rzeczpospolita polska, gdzie szlachta robi co chce, a król się kłaniać jęj musi.

Hennieke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w tęgże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanąwszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radzca Stammer.

— Cóż to, sejm? — zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany — przerwał trochę markotno Hennieke — doprawdy, gotowi pomysleć, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czém myśli? to się dopiero zacznie jutro — rzekł Stammer — dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanąwszy twarzą do zachodu, czémś inném musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się pp. radzcy.

— Stammer, ty co wiesz wszystko — zawołał Globig — co slychać?

— Dzwony, dzwony, dzwony! — rzekł Stammer — gdybym co innego i poslyszal nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczeć należy, jedném okiem plakać a drugim się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennieke z kapeluszem... — rzekł po małym przestanku — wychodzisz?

— Muszę... — przepaszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz — służba.

— Tak! tak — najważniejsza — dodał Stammer. Każdy służy dziś sobie... nie ma więcej wymagającego pana.

— W istocie, nie wiecie nowego nic? — zcicha rzekł Globig zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednęj wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstowstwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipsy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski, na przodzie.

— Sułkowskiego położyliście na ostatku? — spytał szydersko Loss... ho! ho!

— Dla tego że on powinien być na początku — rzekł Stammer — a teraz ponieważ czas gorący choć na dworze zimno... żegnam panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który znać osobno iść chciał, bo się przypóźnił wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich obejrzawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka się zatrzymała przed domem w którym mieszkał O. Guarini. Pokój ten gdzieśmy go widzieli z Brühlem był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufale gości, spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował Padre, a wedle tego kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych ale blada i zwiędła. Uśmiech nadzwyczajnej słodyczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzymski, wąskie usta, twarz ogolona starannie, nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, nieznajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale wszedł w głąb sieni. Co widząc sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu ale salki gościnniej O. Jezuity.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godel i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać, że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tym i teraz nie było nikogo, ale O. Guarini w tejże chwili wyszedł z gabinetu usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego; nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i oba pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie — rzekł prędko stłumionym głosem gość — ja sam nie wiedziałem że tu dziś będę. Domyślicie się co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższej wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcje — odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę.

Każcie zamknąć drzwi wasze...

Musimy być sam na sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu — odezwał się Guarini — jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie tracmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie a radźmy zawczasu?

Guarini się zamyślił ważąc co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

— Najprzewielebniejszy Ojcze! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa, jeśli być może żarliwszą jeszcze.

Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal co ich otacza wyznaje świętą wiarę naszą.

— Ale Sułkowski! Słyszę że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi.

Jeśli Sułkowski, możemyz mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrział w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głową potrząsał.

— Katolik jest — rzekł po chwili — lecz chłodny, ambicya u niego wyżej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

— A jednak, ominąć go, obalić go o ile wiem, niepodobieństwo — zawołał gość — królewiczowa ma-li dosyć siły?

— Z jój twarzą i z jój charakterem? — szepnął Padre. — Myślicieź że w tój spokojnej, dobrej, zacnej naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce załamał.

— Kreślicie mi obraz nadto smutny — zawołał — na to, bądź co bądź należy szukać rady.

— Wcześniej o tём myślałem — począł Guarini sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łożę, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie, (westchnął) może coś więcej jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz — przerwał — gdy w wielkiej sprawie do małych i wstrętnych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita* — z cicha zacytował Padre Guarini. Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem — rzekł gość — sprawa jest zbyt wielkiej wagi, abyśmy nie mieli dla niej narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tём dawném ognisku ohydnej herezyi Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczej jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój Ojcze — rzekł z cicha — to wszystko stokroć powiedziałem sobie, dla tego ja w sukni tój oplwanój i bez sukni służyć jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako pulcinello u królewicza, jako impressario za kulisami, jako doradca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jój zdobyć siłą, opanowuje się ją podstępem: *Media sunt licita*.

— My tego, mój Ojcze, mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość — odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini — nie gorszcie się nami; nieraz wam to przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabymi ludźmi jakże iść nie wiedząc ich na pasku ich własnych namiętności...

Królewiczowój jesteśmy pewni, ją osłonić i jój wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest — przebaczcie mi Ojcze — najnieznośniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki, i bez niej nie wyżyje. Jeśli my mu jój nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył O. Guarini, a po chwili mówił dalej:

— Sułkowski nikogo słuchać nie będzie, poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swém: da mu co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzie wyborne dała nam Opatrzność.

Mamy człowieka.

Tym jest Brühl.

— Protestant? — podchwycił gość.

— W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to pozwolić, więc co powiada Maldonatus nasz: *Quando vobis dissimulam tibus religio vera aliquod detrimentum acceptura sit, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua edusa legitima interveniente*²⁰.

Brühl będzie a raczej jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowej i naszej; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteście tu panami.

Nikt nas nie posądzi o udział w tej sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać, przeciwko katolikowi.

— Lecz jesteście go pewni?

O. Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszej, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę — po chwili namysłu przemówił nieznajomy — ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwym.

— Z dziś na jutro niemożliwemby było — rzekł O. Guarini — rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce Bożej, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze Kurfirsta?

— Tak jest — odpowiedział Guarini — ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecko, którebym wykołysał na rękach.

— Królewiczowa? — spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jej nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnej. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! przecież nie dopuście aby po ojcowsku szalał i siał zgorszenie, i puścił się na rozkielznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet — rzekł Guarini — jego natura powściągnie go od jawnego zgorszenia, ale nie od okielznanania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

— O! biadaż tym, co dla świętej sprawy w kale pracować muszą? I jak się tu nie zwalać? i jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy westchnął żartobliwą minę przybierając Guarini. Zazdroścą mi ludzie...

— Nie ja — odparł kłaniając się, gość. — a! nie ja...

— Plany więc nasze? — spytał Ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady — odparł przybyły — nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się. Królewicz płacząc to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władzcą, ów istotnym, a potem...

— Sądźcie że go obalić potraficie? — spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który niema nawet przecucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicya Brühla jest dla nas najskuteczniejszym narzędziem.

— A ten człowiek? — spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej.

Przy tém słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli, przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

— Mogę wam czém służyć? — zapytał O. Guarini.

Pytanie to przeszło nie dosłyszane, tak ten do którego się zwracał zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem? — zapytał po milczeniu, które O. Guarini uszanował.

²⁰*Quando vobis dissimulam tibus...* — Joanna Maldonatus. Summula Coloniae 1605. P. 3. [przypis autorski]

— Z nawracaniem? tu? w samym gnieździe herezy — rzekł Ojciec — tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze które nasze sieci rybaczce wyciągają na brzeg, nie wiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostołski. Do innych herezy nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą niż ze wszystkimi innymi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezye nie nowa, ale ten co apostołuje, człek możny, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością jaką chce zbudować. Falsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina Braci Morawskich, coś nakształt zakonu, ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? mówcie — z zajęciem podchwycił gość — nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem tej Rzeczypospolitej Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jednym miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dziewic, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczerze ubłogosławione modlitwą. Możny pan hrabia Zinzendorf, nadał gminie grunta i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska, są prawidłami życia nowej Braci Morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

— I dopuściliście aby się to gniazdo herezy niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

— Staralem się przeszkodzić, dotąd napróżno — rzekł Guarini — zjeżdżały komisyje, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

— Ale tam dzieć się muszą szkarady? — odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrożnego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majątność wspólną, w której nie ma ubogich, w której sierot nie ma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum! — zawołał — a małżeństwa...

— Jak najostrzej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego, wiecie jak się one zawiązują?

Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stadła są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są zdala pochwycone wieści, to niemożliwe...

— Sam tam byłem — odparł Guarini — sam patrzałem na idące modlić się chóry, na dziewice z ponsowemi wstążkami, na zameżne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął. — Spodziewam się że nie ściępcie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę — szepnął Guarini — Zinzendorf zostanie wygnanym, gmina się rozpierzchnie.

— Najlepiejbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo luterskie.

— Ono w tém nic zdrożnego widzieć nie chce.

— A Zinzendorf, zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcianach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat się chrześciański obracać powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi począł ręką domagać się, aby O. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem Padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznanomego, szybko już poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W tej samej salce w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy O. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko; ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewnym oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała tryumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrojał do obowiązkowej żaloby.

O. Guarini daleko więcej było wolno, pomimo urzędowego smutku, wiedział iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu, patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tym co jest losem nieuchronnym wszystkich śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a W. K. Mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Frosch'a (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figłów mu płatać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie, patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne! — szepnął królewicz — ale mnie tego widzieć niewypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, niewypada: żaloba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię — odezwał się królewicz i spojrzał na Sułkowskiego, który się przechadzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

— Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtem Sułkowski, który wiedział jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczem rozerwać — rzekł — a tu trosk tyle...

— Ja sądzę — ozwał się jezuita — że przy waszej chętniej pomocy, wszystko się ułatwi.

— Tu, w Saxonii zapewne — odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody — tu w Saxonii, ale w Polsce...

— Świętej pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ks. biskup Lipski. Cóż mówi Brühl? — zapytał Guarini...

Królewicz spojrzał na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski na wspomnienie Brühla, chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcyi pracować będą. Ale któż wie czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francyi, intrzygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po rękę Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny — dodał Fryderyk prędko. Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Oba przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha O. Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie że oni sobie języki pokazywali!

— Albo sobie albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się królówic głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i zawstydzony zamilkł nagle. Sułkowski stał zamyślony i nieco zgorszony spojrzął na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha Ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustynę? — zapytał.

— Nie — rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? powiedzcie jej, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* głos anielski; żadna jej nie zrówna. Jak mi będzie tęskno za jej głosem; ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś nie miły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając z nowu przed królówicem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłoń.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję — zawołał — bogdaj doczekała tego Saxonii, aby w niej tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królówic się obejrzał.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy — jako katolikowi ministrować — znajdę na to sposób: poczciwy Brühl robi, co mu każe...

— Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi — odpowiedział Guarini — ale to zapamiętały heretyk.

Na to królówic jednem tylko, ee! odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął — ee!!

Sułkowski niedowierzająco spojrzął na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród tej rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królowskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek też miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać W. Królówicowską Mość — odezwał się — jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcyi przyszłej zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszém — rzekł wzdychając królówic — chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski ani Polaków nie zna — żywo odezwał się podskarbi — to nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— A! dobrze, jedzcie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy które w Wilanowie zostały... Ja je chcę mieć! kaźcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wicie...

— Wiem, czarne — rzekł Moszyński.

— Jupiter, Dyana, Merkury, Pijawka — począł liczyć królówic. Co się stanie z myślistwem! dojrzyjcie proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sędzę że trzebaby to tam zostawić — odezwał się podskarbi — gdy królówic jako król tam powróci...

— Mój drogi i z pałacu saskiego w bawelnę mi ją obwiń, Magdalenę, a przywieź. Nuż jej się tam co stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy? — zapytał.

— Kłaniaj się Muszkieterom: ojciec mój tak ich lubił. Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło, królówic usiadł. Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tém co lubił, poszedł skinąć na Czybukczego kamerdynera, który fajkę nową podał i fidibus zapalony. Królówic pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale napróżno; fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silniej i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcej wzrokiem niż mową go żegnał...

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Guarinim. Zaledwie drzwi się zamknęły, gdy królówic zwrócił się do siedzącego Ojca.

— To jeszcze nic — szepnął — jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie lać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmierniej komiczności opisaney sceny i sam zrobił minę tak pocieszną, tak wesołą, iż biedny osierocony syn znowu zapomniał trochę o swęj żalobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później! — rzekł cicho — później, byle tylko tych doskonałych figłów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu znać było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawróci! to człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

VIII

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej, każda z nich pochlebiała sobie że choć na chwilę zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejącej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzą dworu królewiczowej, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed księżętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię które nosiła, czyniły dziewczę dumnym i samowolnym. Im bardziej dorastała, tém matce trudniej ją było prowadzić. Jedyńca i ulubienica, mimo surowego wejrzenia królewiczowej, umiała się wyswabadać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryzki. Przyszłość nie zdawała się jęj tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Małżeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jęj wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjsciu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żalobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczownej, były jęj wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swęj pięknej figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamdloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwo niła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona zaś była wolną aż do wieczery i nie dobrze wiedziała co zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jęj padło na szkatułeczkę bronzami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnemi paluszkami poczęła je przebierać od niechcienia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwnym uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała i z uśmiechem nie czytając, inne rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze odczytywała oczyma błyszczącemi i zamyślała się nieco. Tak przetrząsała szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do nięj i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszku jęj błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzyła okiem smętnym. Była to obrączka czarno smelcowana, stara, nie ładna, ale złotemi głoskami stało na nięj nie zgrabnie po hiszpańsku. *A hora y siempre...*

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych, wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były maleńkie ukryte i nieznaczne w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał niemi... nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróci-

ła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się z wolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj ta twarz zwykle szyderska miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, zaledwie na niej pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi Krystianie! — zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym — jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć, donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł — odparł zbliżając się Watzdorf. — Franiu, bóstwo moje! siedziałem wypatrując godziny skurczony pod wschodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. W. Ochmistrzyni czyta lub modli się z naszą panią: niema nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile — zawołała Frania — ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie; cierpliwości — rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę — mam nadzieję...

— A ja, żadnej — przerwała hrabianka — mną rozporządzą, czy zechcą czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, Padre Guarini: któż wie, jam niewolnica!

— Więc uciekajmy ztąd?

— Tak? dokąd? — śmiejąc się zawołała Frania — do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwyć brandeburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czém? jak? Ty Krystianie niemasz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowej.

Watzdorf zamyślił się.

— Ależ serce twój matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumieć.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mogęż ci ją dać, gdy sama jej nie mam? — odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie?

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie! — rzekła — nikogo kochać nie potrafię i dlatego że ku tobie mam miłość, chcę z tobą mówić otwarcie.

Watzdorf sparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem — mruknął — zechcesz mi dowieść, iż dlatego żeś mnie kochała nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne — przerwał Watzdorf — to obrzydliwe: niemasz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła — zawołała Frania — jutro w ucieczce pochwyconoby nas i ty byś poszedł na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazyja przeznaczy.

— Ja zdaje mi się bądź co bądź na Königstein się dostanę — zawołał Watzdorf — nie mogę wstrzymać ust patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj Krystianie, zamiast mówić, milczyć powinniśmy — odezwała się Franciszka — zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić niemi i panować im.

— Poddając się ich fantazyjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brucząc siebie — rzekł Watzdorf — to śliczne życie!

— Więc lepiej wyrzec się wszystkiego? — rozśmiała się Frania — ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie jak ono jest.

— Ja niem gardzę — mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biedny ty zapaleńcze! — westchnęła — A! jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukiwania.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie — szepnęła — to życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem! — dodał Watzdorf, który rękę jej pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał. — Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więcej życie nademnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie — poczęła cicho — ja sama nie znam siebie, mnie wychowano kołyszac fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić — patrząc w jej oczy, począł Watzdorf namiętnie — i jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jej ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie: ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więcej niż usta; ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jej wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją postrzeżono szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jej straszny był, usta drżały; Frania podnosząc oczy zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona niem jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie ręką szukał szpady, jeszcze niewidząc kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzal hrabinę, stanął blady i milczący, jak winowajca na uczynku pochwycony.

W. Ochmistrzynie w gniewie odezwać się nie mogła, chwytając powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu i przyłożył ją do ust, w chwili gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się wciąż drzwi pokazywała. Krystyan spojrzal na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzynie padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jej tylko bladością się okryła. Hrabinię z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała — do tegoż więc doszło, że w swoim mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadzki mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham! — odpowiedziała chłodno córka — tak: kocham go!

— I śmieś mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

— I myślisz że ja na to dozwolę? że dla tej głupiej miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, swoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą — odpowiedziała zimno hrabianka — los mój mogłam przewidzieć z góry.

— Tyś oszalała! — zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krześle naprzeciw niej, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go podniosła.

Zimna, szyderska rezygnacyja biła z jej twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przelęknęte.

— Szczęściem, mógł wyjść nie widziany — poczęła jakby sama do siebie — jutro te drzwi zabić każę, a ciebie zamknę jak niewolnicę... Mogłażem się spodziewać dożyć tego...

Frانيا wciąż kwiatek gryząc zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jęj podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka, gniew jeszcze większy wzniecało w hrabinęj. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamkną go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził — odezwała się hrabianka — właśnie mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzą, że pójdę za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię co myślę. Ten co się zemną ożeni, będzie wiedział czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamanemi rękoma stanęła przed Frانيا.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czulszym — właśnie w chwili gdy ja ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty...

— Ofiary w złotogłów ubranęj — śmiejąc się gorzko, odpowiedziała Frانيا — tego losu jam dawno miała przeczucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz że woli pani twęj opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Której woli nie ma — szepnęła hrabianka szydersko.

— Milcz! — przerwała groźnie hrabina. — Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tém o czém wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

— Większe niżeliś zaszłużyła — odpowiedziała matka. — Cóż możesz mieć przeciw temu najmilszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

— Nic a nic, jest mi tak obojętnym jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go — zimno odparła Frانيا — nie chcę by ginął; chcę by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuję...

Frانيا zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni nawykła do porządku dworu postrzegła z przerażeniem iż pięć minut upłynęło jak powinna była być u królewiczowęj, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną — odezwała się rozkazująco do córki — królewiczowa kazała ci przyjść. Wiesz jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery, wprędce po tém, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziwała okiem dosyć niechętném. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugięj sali. Tego dnia królewicz sam jadał z królową. Ojciec Guarini który wieczery nie jadał, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach mniej żalobnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali błazeństwa, a królewicz śmiał się, podjudzał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żaloba świeża nie dopuszczała teraz aby trefnisie wrócili już do

swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła, Guarini dozwolił aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświetlony rześcisto. Fryderyk wszedł podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i nie piękna odbijała przy wypogodzonej i wspaniałej, rysów regularnych, ale jakby zastygłej twarzy męża. Typ habsburgski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniej, młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła warga, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niej.

W czasie gdy O. Guarini odmawiał *Benedicite*, oboje królewiczowstwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego błędząc po sali padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy obaj zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszemi stali niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty.

Storch niepomiarnie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żalobę, mieli na sobie fraki ponsowe i pluszowe spodeńki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pociesznie, jak skórka barania, u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w haarbeutel. Frosch stał jak kolos Rodyjski rozkraczony z rękami na plecach założonemi, a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak u grenadyera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz zobaczywszy ich uśmiechnął się, ale im pogroził zdała aby się zachowali spokojnie. Storch nie poruszając się odpowiedział oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinąwszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprowadził królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, clami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnym. Sułkowski się spodziewał iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakryta.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł powrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionej, równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężła żaloba. Ale to wszystko przyjąć miało wkrótce do porządku. W polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcyą, a Brühl też za nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca, oświadczył Fryderyk iż wszystko co ubóstwiony przez niego, August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swój sile i w niczym się zmieniać nie będzie. Kraj który się spodziewał odechnąć, wkrótce też nabral smutnego przekonania iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściągać zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacyi odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugiej sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi żartobliwie, rzucając słówkami, przechadzał się O. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swojego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jęj towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jęj znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko — rzekła głosem suchym i niemiłym — czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką — dodała królewiczowa — i dlatego cię najprzód zapewnić muszę, że przyszyły twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będziesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frania słuchała obojętnie, zdało się, że pociecha ta małe na niej czyniła wrażenie.

Królowiczowa spojrzała i nie mogła wyczytać nic z młodej tej twarzy zastygłej.

— Mogę ci powinszować wyboru — dodała — wyboru, który matka i ja uczyniliśmy; człowiek przeznaczony dla ciebie, jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem jest to minister Brühl.

Znowu spojrzała Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny, Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętém młodemu dziewczęciu.

Na tém skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz zapewne z natchnienia matki i za jęj wiedzą, Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jęj zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jęj do twarzy, piękność jęj świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladości nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacya nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubęj żałobie ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać, aż do zbytku niewieście i pieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pospiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka z lekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonii do żałoby, jaką nosimy — rzekł Brühl — i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy — przerwała Frania — cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteś o tém uwiadomioną — podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedyi — zawołała Frania — ani pan mnie, ani jabyłm go nie oszukała. Każą mi iść za pana, gdy ja kocham innego; każą się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

— Ja! kocham inną! — niby zdziwiony odparł, cofając się Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętała Moszyńską: o tém wie zdaje mi się ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tém?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... — odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje — dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... dosyć żem szczerą i oznajmuję mu o tém.

— To dla mnie smutne bardzo! — zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie — dodała hrabianka. Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innęj, którąbyś uszczęśliwił?

Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowej.

— Ojca Guariniego i tym podobnie — podchwyciła hrabianka — rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani — rzekł przysuwając się z krzesłem Brühl — ja mam nadzieję, że zasłużę na jój względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszej nadziei — poczęła Frania — lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronném... dobrze byśmy się z góry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jój szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślę o niém. Ja panu nie bronię kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem że to się na nic nie przyda. Córka Cosel odziedziczyła po niéj wdzięk jój i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności, poczuł że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrém, spojrzał na Franię, bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.

— Bądź co bądź ja nie odejdę zrozpaczony — dorzucił po krótkim milczeniu. Znam panią od dzieciństwa, jestem jój wielbicielem oddawna; to co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiej było chwilową fantazją, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani spodziewam się potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny — przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy — rzekł Brühl.

— W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia — odezwał się z westchnieniem... Potrafię jednak stłumić w sobie wrażenie.

— Nie skarż się pan przed królewiczową — zawołała Frania — nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewczę. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi.

Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz kogo bierzesz, i co cię czeka.

To mówiąc wstała; Brühl słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizygnomią, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jój rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego na chwilę zachmurzona w proggu, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie. Zdawało mu się to obojętném, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł puste pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jój było bardzo przyjemném.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niéj.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciałabym przyspieszać wesela.

— Ja przeciwnie dlatego, że najlepiej starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki — rzekł Brühl... Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka poznawszy mnie lepij i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabinéj.

— Dziś dość — rzekła — *cela viendra!* Frania jest tak piękna, że jój nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energią bogini, do której jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzecznym pożegnaniem. Gdy siadł do swojej port-chaise, która nań czekała u ganku i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposepniała.

Radbym wiedzieć jednak, kogo kocha! rzekł do siebie w duchu. Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jój pochwyć.

A! do serca nie mogę mieć pretensyi... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie! królewicz nie wytrwa wiernym swój pani... a w takim razie...

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi.

O Moszyńskiej więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.

Pogrążony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Henniecke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelaryi, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszycypowstali na powitanie J. excellencyi, za którą powoli i niedbale ciągnął Henniecke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął... — Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnymi guziczkami, do niepoznania przebrany Padre Guarini.

IX

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać: czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreźnie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny, jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego stanowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcej ważyło — jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przebyli najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urosli na ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzył, jak się on wyrabiał na to, czém został wkońcu; Brühl więcej się go domyślał i odgadywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętném, gdyż najmniejszej nie miał wiary; papież Klemens XI poczył starać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski, nie był pewnym: w Saksonii protestanckiej wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka królowa Eberhardyna (z domu Beireuth) i babka Anna Zofia (księżniczka duńska) czuwały nad tém, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nietylko żarliwe, ale nieubłagane przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchią dziedziczną, choćby część jój miał poświęcić; w nadziei téj mógł syna wychować na katolika... inaczej było mu to obojętném. Na nagłce breve papieżkie, August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702, zapewnił Stany Saskie, że syn będzie lutrem. W istocie nie wiedział jeszcze co lepiej, co dogodniej i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego z ręki babki p. Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współcześni, sama przez się nie wiele miała sądu; rządziły nią

protestanckie tartuły, a po obiedzie zwykle mniej jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowej Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec nie wiele mógł dobrego zrobić swym wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytnej wagi, za to protestancy duchowni dworu królowej matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczono ani jednego do małego wychowanka. Doniesiono o tym do Rzymu (Fürstenberg), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z tej powrócił wkrótce. Obie królowe niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterańskiej i razem według obrzędów protestanckich, poleciły go bierzmować (confirmatio). Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tym sam papieżowi, pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnieby ukarał tych śmiazków, co się wazyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Szły okoliczności tak, iż Rzym Augustowi był potrzebny, musiano się mu zaślubić, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę Inflantskiego Kos'a i uczyniono go przy księciu ochmistrem. Sułkowski już naówczas przy nim się znajdował.

W 1711 r. zabrał z sobą syna August do Polski, z kąd zawiózł do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncyuszem Albani. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza, dając mu samych katolików. Nie wiedział o tym wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna, w niedzielę najpierwszą poszedł do luterańskiego kościoła na znak wytrwania, przybierając sobie imię Constans. Wkrótce potem we Frankfurcie przy wyborze cesarza, był także jeszcze na nabożeństwie protestanckim.

Zaraz potem wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistra barona Miltitz; cały protestancki dwór królewicza z nim razem, wyjąwszy lekarza, kucharza i kasyera i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć O. Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazał mu najprzód jechać na karnawał do Wenecji! Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze podówczas bywały karnawały na placu Ś-go Marka. W styczniu 1712 r. wyruszono wprost z Frankfurtu w tę podróż, która dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich, trwała lat siedm.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i generała saskiego Lützelburga, człowieka bystrogo umysłu, ale obyczajów nie zbyt chwalebnych.

Królewicz zrazu zaniepokojony w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny królowej angielskiej i Fryderyka IV króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii, drugi oświadczał, że jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Breve papieżkie tegoż roku zapewniło Augusta, iż w razie napaści książąt protestanckich, Ojciec Święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoją. Królewicz tymczasem w towarzystwie Sułkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech incognito pod imieniem hrabiego Miśni lub hrabiego Luzacyi. Dwór jego składali, oprócz Sułkowskiego, wojewoda Kos, generał Lützelburg i O. Salerno, ale ubrany po świecku, jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita O. Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper pod nazwiskiem pana Wedderney i w ubraniu świeckim. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu, oprzeć się było niepodobieństwem. Z Wenecji udali się do innych miast włoskich do Bolonii, gdzie władze papieżkie uroczyście przyjmowały księcia. Tu O. Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największej tajemnicy królewicz w ręce legata papieżkiego kardynała Cassoni. Później i Albani i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że Stany Saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 r. wracał do kraju wraz z O. Salerno, który z Werony, pożegnawszy się, pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłej korespondencji ze swym wychowankiem.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale najprzód do Düsseldorfu, gdzie jakiś czas mieszkał u kurfirsta Pfalzu gorliwego katolika; później udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W tej podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśniona. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętej wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów stariej księżnej orleańskiej, znajdowano go nawet miłym, chociaż bardzo mało-mównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się też wielce. O zmianie religijnej mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnej matce się do tego nie przyznawał. Z Francji zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lyon i Marsylię do Włoch i do Wenecji znowu, gdzie Signoria i szlachta wysadzała się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty, komedye, bale następowały jedne po drugich.

Z porady Klemensa papieża nakoniec postanowiono dla zapewnienia się o księcia, ożenić go z gorliwą katoliczką; rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez O. Salerno, minister Starhemberg i książę Eugeniusz dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka przyrzeczoną została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królowę matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku, jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątej rano w jego przedpokoju. Około jedenastej zaszła przed pałac karetą nuncjusza m-ra Spinoli, naprzeciw któremu wybiegła część dworu, dla wprowadzenia go na pokoje. Wkrótce potem wszedł maleńki człowiek ze skrzyneczką zakrytą, a p. Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passiren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą być lub nie być przytomni. Otworzyły się drzwi na roścież, nuncjusz przy stoliku czytał mszę, której książę będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncjusz, a książę odezwał się do dworaków swych protestantów: — Teraz panowie już wiecie czém ja jestem, a zatem wkrótce proszę za mną.

Na co generał Kospoth odparł:

— Jeszcze się o tém nie myślało, trudno się tak nagle decydować — a książę dodał: — Masz W. Mość słuszość, trzeba wprzód zostać dobrym chrześcianinem, nim katolikiem...

Tajemnica została odkrytą, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do Jezuitów i komunikował. Radość ztąd wielka była w Rzymie.

Saxonii dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka poszanowaną zostanie, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczano z Wiednia przez siedemnaście miesięcy. August dostarczał obficie pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Maryą Józefiną w roku 1719.

Sułkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępny! Z nim razem tegoż roku przy dworze młodej pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę Cezarów. Sułkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myślistwa, konne łowy, zamilowanie w teatrze i w sztuce. W podróżach po Niemczech, Włoszech, Francji, w towarzystwie pana, widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcej poznał dobrze słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić niemi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się nie zwalczonym. Sam na sam królewicz był z nim w największej poufalości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki zawiązane na dworach austryackim, francuzkim, papiezkim, ubezpieczały także Sułkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstępu. Przez żonę, niegdy frejlinę królewiczowej, pannę von Stein-Jettingen, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniej pokorny i śmielszy, „kawaler” jak naówczas mówiono najlepszego tonu. Pięknej postawy, układny, Sułkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambicyę wielką. Mniej oswo-

jony ze sprawami bieżącymi kraju niż Brühl, który oddawna przy Auguście w kancelaryi jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Sięgał więc po władzę w przekonaniu że ją utrzyma i że jęj podola. Życie jego było skromniejszém od Brühla, który pod rozmaitemi pozorami, lubił coraz świetniej występować i kochał się w zbytku. Sułkowskiego dwór nader był szczupły, służba nie wytworna, ekwipaże nie wykwiłntne.

Objęcie ministeryum i zarządu państwa właśnie oddaném mu być miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sułkowski posłał po swojego powiernika. Siedział z książką francuzką w rękę w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radzca Ludovici nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki co Hennicke przy Brühlu, był to jego factotum, zastępca, naczelnik kancelaryi, wyręczyciel i poradnik! Sułkowski sam mało wprawny w interesa, posługiwał się nim we wszystkiém.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało. Charakterystyczniejszej twarzy trudno było spotkać, ani łatwiej umiejacęj się zmieniać i przybiierać wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści Ludovici starszym się wydawał niż był. Twarz cała w faldach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wązkiemi i szerokiemi być umiały; cała postać wyłamana i kuglarsko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radzcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemnym i niespokojnym. Trzeba się doń było przyzwyczaić aby go módz znieść. Nieustannie patrzył w oczy, badał, wrywał z ust niedokończone wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powagą swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów, wszedłszy skłonił się i sparszy na poręczy najbliższego krzesła, czekał co mu pan minister powiedzieć raczy.

— Dokumenta mam z sobą — rzekł nakoniec uderzając się po boku z którego kieszeni papiéry wyglądały — jeżeli W. Ekscellencya pozwoli.

— Nie o tém się z w. panem radzić chciałem dzisiaj — odezwał się Sułkowski — mamy o czém innym do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

— O czémże, o czém? W. Ekscellencya raczy...

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze czy ma się zwierzyć zupełnie; ta chwila wy-czekiwania i niepewności, podniosła jeszcze, żywą już ciekawość pana radcy. Ściagał go oczyma, nachylał się jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzej pochwycić.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potem powoli w bok się biorąc.

— Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz — rzekł — że żyjąc na dworze, nawet tak nie-ograniczonym, będąc zaszczyconym zaufaniem kurfirsta jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

— Mogę śmiało powiedzieć — kończył Sułkowski — że się tu nie obawiam nikogo, ale téż nikomu wierzyć nie mogę.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — dorzucił Ludovici — wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak jakby jutro naszymi wrogami być mieli.

— Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie zrobią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — wtórował Ludovici.

— Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznym.

— Słuszném, piękném i sprawiedliwém — powtórzył radzca — tak, tak! musimy mieć ludzi, którzyby oko mieli na wszystkich....

— Tak jest, nawet na osoby wysoko położone — z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrział i nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski nie bardzo się chciał jasno tłumaczyć.

— Ja — dodał z pewnym zakłopotaniem — we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę...

— Urzędowe czynności — rozśmiał się Ludovici — ale to nic jest, Ekscellency prywatne ich czynności częstokroć nie równie więcej znaczą...

— Radbym więc mieć o tém...

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik — wtrącił Ludovici — każdego dnia, regularnie. Tak: pisany, ustny?

Zawahali się oba.

— Ustny mi starczy — rzekł minister — waćpan mi go sam przynosić możesz, zebrawszy materyały właściwe.

— Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam W. Ekscellency, że wierniejszego sługi mieć nie może.

Tu skłonił się i w téjże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

— Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag — szepnął Ludovici ciszej. — Posłowie obcy, rezydujący przy dworze powinni ściślemu podlegać nadzorowi, cóż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi: hm? Nie wyjmuję nawet z przeproszeniem hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrzem dworu... A cóż dopiero mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weissbach... i o baronie Zülich.

— A! mój Ludovici, obce państwa nie tyle częstokroć grożą co wewnętrzne intrygi.

— Słusznie, pięknie — podchwycił Ludovici — tak! tak! tak. Nikt nademnie wyżej nie szacuje i nie ceni ministra Brühla...

W téj chwili Sułkowski bystro spojrział na radzcę, radzca na niego i rozśmiał się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem we ćwieczek.

— Jestto mój dawny przyjaciel — począł Sułkowski — człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

— Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! — z gestykulacją żywą potakiwał Ludovici — a tak.

— Radzca masz wiedzieć, że zmarły król silnie go polecił Najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hr. Kolowrat, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo to wszystko źlebyś sobie tłumaczył to co mówię, gdybyś sądził iż mu nie ufam, że się go lękać mogę...

— Tak, ale ostrożność jest nakazana, a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złoty i rzeka srebra...

Sułkowski nakazał milczenie.

— Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa?

— Młodszego — przerwał Ludovici — tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie: nikomu to nie szkodzi, oprócz jemu, a jak niema być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszeć w blizkiej sieni domu, z której drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piskliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoblekła się inaczej; zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk przerywany śmiechem kobiecym rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wnijscia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radzcy, że na ten raz konferencya była skończoną i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwały, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wyniść na spotkanie, dama, najpocieszniej przybrana w żalobę, wpadła do gabinetu.

Podobne jój figurki chyba na parawanach i z porcelany lepienie się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta, woniejąca węgierską wodą (La Reine d'Hongrie: larendogrą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiej fryzurze, na korkach wysokich, małeńka kobiecina wpadła szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonemi, buzią wysnurowaną, w której już połowy niegdyś perłowych zębów nie było.

W chwili gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici nawpół zgięty wysuwał się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajęta, oczyma za nim powiodła.

— *A ce cher Comte!* — zawołała — widzisz, widzisz, niewdzięczny hrabio! nim mogłeś się dowiedzieć że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojej Najjaśniejszej wychowawicy, przybiegłam do ciebie. *N'est ce pas joli de ma part?*

Sułkowski się skłonił i chciał jej rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

— Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie; ale daj mi gdzie sięść.

Obejrzała się i na pierwszym krześle upadła.

— Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy.

Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

— No cóż? straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

— Szkoda go, ale między nami powiedziawszy, żył dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tym mówić nie mogę: *Des horreurs!* Cóż teraz będzie z wami, sierotami biednymi? Królewicz? prawda? nieutulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencją do niego i mojej drogiej Najjaśniejszej wychowawki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

— Cóż słyszać? mój hrabio, drogi hrabio? co słyszać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszym się z tego wszyscy, bo wiemy że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku?

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austriackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowej Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam gdzie mężkie poselstwo byłoby zbyt niewygodne czy zwracało. Panna Kling była jednym z najrzęczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

— Pani już o wszystkim od Najjaśniejszej królewiczowej wiedzieć musi.

— Ale o niczym w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko — prędko mówiła panna Kling — że wam należy pierwsze dostojęństwo, że macie Kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

— Jestto mój przyjaciel — rzekł w końcu.

— A! teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowrathównę i że ona podobno nie bardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź się namyślić nie miał czasu.

— Tak — rzekł krótko — Brühl podobno się żeni...

— Ale luter jest?

— Ma przyjąć wiarę katolicką.

— Byle nie tak jak, z przeproszeniem nieboszczyka, jak ten wspaniały wielki August II, który swoim ulubionym wyłom kładł różańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

— Cóż więc? królewicza nie widziałam jeszcze... zmienił się? posmutniał? żal mi go! Żałoba... opery tak długo nie posłyszysz. A Faustyna? cóż? czy ją kto zastąpi?

— Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie jak było za rodzica jego ś. p. Augusta.... Faustyny niktby zastąpić nie potrafił.

— Ale to stara kobieta i głos ma tylko piękny.

— To też ten w niej tylko zachwyca — odezwał się Sułkowski.

Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

— Prawdziwie — rzekła cicho — dla mnie kobiety nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedzieć. Mój Sułkowski! czy on dotąd jest wierny żonie. Ja ją tak kocham, moją Najjaśniejszą wychowawicę.

Hrabia aż się cofnął.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości! — zawołał żywo. — Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę: jeździ z nim na łowy, do Hubertsburga i Dienenburga nawet.

— Ażeby ją zbrzydził i aby mu się przedź naprzykrzyła — szepnęła Kling — to nie dobra rachuba. Ja się zawsze lękam tego bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrząsał.

— Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem. Okna pokoju, w którym się toczyła ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny pod samymi oknami stał się tak silny, że Sułkowski, namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrzieć jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie pospólstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowane wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym: wyrokiem jakim sądowym, wykonaniem jego, lub tym podobnie. W istocie przez okno widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno było głów we drzwiach i szybach. W pośrodku ciżby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i rozsunąwszy firanki starała się widowisku, które jej badanie przerwało przypatrzeć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samymi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów gonila za dziwną figurą w ciemnej sukni, siedzącą na osiołku twarzą do ogona. Osła prowadził pacholek czerwono ubrany... Smutno było spojrzeć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka nie młodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwycił się osła aby nie spaść, to opierał na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zbolaną, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który, wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papiery. Z nóg zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznanej upokorzeniu; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to co się koło niego działo. Pomimo że dokoła osła szli z halabardami pacholkiwie miejscy, tłum nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę ciskał błotem i kamykami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pacholkiwie się śmieli, dzieci biegły, schylały się, gonily i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

— Ale cóż to jest? — zawołała panna Kling — co się tu u was dzieje? nie rozumiem!

— A! nic, nic! — obojętnie zawołał Sułkowski — bardzo prosta rzecz. Nie można bezkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryziopórki jakieś co papier zasmarowują, śmieli się porywać na sądenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należącego uszanowania.

— Ale naturalnie — odparła p. Kling — a cóżby to było, gdyby im dozwolono tykać najświętszych rzeczy...

— Wiem co to za jegomość, to wydawca jakiegoś pisemka, które gazetami albo nowinami nazywamy, niejaki Erell... Dawnośmy uważali że sobie za wiele pozwala. Na ostatek przeszkrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten* i kazano go przeprowadzić po mieście na takim osle, jakim on sam jest.

— *Et c'est justice!* — zawołała panna Kling — to bardzo dobrze: z temi ludźmi dosyć surowymi być nie można. Wyborny przykład, radabym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze dworów tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się wrzeszcząc tłoczył. Stary ów Erell, znać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pacholkiwie uważni chwycali go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawiania pięścią niezdarne go pismaka, który pozwalał sobie popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie wraz z tłumem, który wiodło za sobą, zniknęło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któżby się był naówczas domyślił, że ten którego na pośmiewisko wystawiano tak nielitościwie, przedstawiał sobą jedną z tych potęg nieznanych, do jakiej miało dorosnąć dziennikarstwo?

Nie popsulo to widowisko humoru ani szczebiotliwej pannie Kling, ani Sułkowskiemu. Zniklo z pamieci, zniklszy z oczow; poczely sie szepty i dopytywania. Gospodarz jednak dosyc zimno i ostroznie odpowiadal na rzucane mu do rozwiazania zagadki.

— Mój drogi hrabio — dodala wkońcu poslanka — powinienes rozumiec to dobrze, iz dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wplyw tylko mial przystep do umyslu kurfirsta, a nawet mojej najjaśniejszej wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekliście się wszelkich roszczeń i przyjęli sankcją pragmatyczną — lecz... łacnoby ktos mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci kochany hrabio — dodala cicho — i mozesz nań rachować, bo wdzięcznym być umieć.

— Liczę się do najwierniejszych sług J. Cesarskiej Mości — rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknią na rogówce, gdyż pomimo twarzy i wieku, dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącym zwierciadle, uśmiechnęła, dygnęła; Sułkowski podał jej rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującej na nią dworskiej portchaise, do której zaprzężeni dwaj hajducy w kanarkowej liberyi unieśli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

X

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowej, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiej zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.

Na twarzy jego zwyczajnie tak rozpromienionej, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanej nam garderoby. Czterech lokajów czekało tu na jego ekscelencyą, piątym był Henniecke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania.

Zobaczywszy go w zwierciadle Brühl, odwrócił się niecierpliw.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Rzecz niezmiernie pilna — ponurym głosem zawołał Henniecke.

— Ale i mnie też niezmiernie jest pilno... — rzekł niecierpliwie Brühl.

— A mnie pilniej jeszcze, niż waszej ekscelencyi — mruknął zausznik.

Widząc że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu... czekał na to, co mu miał powiedzieć Henniecke. Lecz radzca potrząsł głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem napowrót przebiegł do gabinetu... Zamknięto drzwi.

— Mów prędko!

Henniecke zapuścił ręce z palcami długimi i kościstymi w głąb kieszeni swjej kamizelki, dobył z niej powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta, czy medal wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny.. oczy jego pilnie zatrzymały się na medalu, którego jedna strona wyobrażała tron z siedzącą na nim figurą z fajką w szlafroku, a poznać w niej było łatwo, lub domyślić się raczej kurfirsta młodego; trzy figury podpierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiej liberyi. Odwróciwszy medal, mógł przeczytać na nim dystych szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Hennieckiego:

Jest nas tu trzech razem:

Dwóch paziów i lokaj.

(Wir sind unserer drei

Zwei Pagen und ein Lakai).

Popatrzwszy chwilę Brühl, cisnął medalem o ziemię; ten się potoczył, a Henniecke schylił po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie, Brühl stał zamyślony i gniewny.

— Cóż w. ekscelencya na to?

— Co? dajcie mi tego, co to zrobił... zobaczycie — zawołał Brühl.

— Co to zrobił — podchwycił gniewnie Henniecke... to odbito w Holandyi, tam gdzie nasze ręce nie sięgają, ale podyktowane z Saxonii. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a wasze obiedwie ekscelencye paziami. Holendrom to zupełnie wszystko jedno. To wyszło ztąd, z Saxonii.

— A zatem trzeba dojść sprawy — zawołał Brühl, bądź co bądź nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi.

Hennicke ruszył ramionami.

— Piękna byśmy mieli policją i dobrych szpiegów, gdybyśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie... — dodał Brühl — ja go potrzebuję mieć. Zkąd go masz?

— Mnie go niewidzialna podrzuciła ręka. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

— Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętej granic, do Koenigsteinu na całe... krzyknął minister. Niedawno Erella trzeba było przewietrzć, oprowadzając po ulicach; ale tego jegomości bezpieczniej zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

— Najprzód go trzeba znaleźć! — mruknął Hennicke. Postaramy się o to... Mnie w tak dobrém towarzystwie — rzekł z tajonym gniewem — wcale nie wstyd. Ekscelemcyom może być przykro stać obok ex-lokaja.

Spojrzał bystro na Brühla.

— Ha! ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejśćby się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, nie mało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciano...

— Cicho, milcz Hennicke — przerwał minister — niepotrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów, wiele zrobić można.

Wyprawić człowieka rozumnego do Holandyi na miejsce.

— Ja sam pojedę — rzekł Hennicke... nie dziś, to jutro namacam tego jegomości. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tém przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł — Hennicke znikł. Chmurniejszy nieco pobiegł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierki, szpady, peruki i kapelusza. Spojrzał na zegarek i kazał zachodzić karecie. Konie stały w gotowości. Zaledwie siadł, uniosły go ku przedmieściu Wilsdrufskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i odprawivszy go do domu, stał póki mu z oczów nie zniknął. Obejrzał się potem bacznie, a że wśród przechodzących, nikogo oprócz ludzi z gminu nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką sobie znajomą dostał się do furtki, od której miał klucz w kieszeni i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wbiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie, okryły go strzęsionemi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w bzowych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach, cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałej postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spozstrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jęj niezrównanej piękności, dziś zamkniętą w pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i boleści Cosel, byliby w rysach młodej pani, stojącej w oknie, znaleźli do nięj choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki ani tych rysów rzeźbionych, które do późnej starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jęj wejrzenia.

Stojąca w oknie była to hrabina Moszyńska, której mąż w Warszawie przygotowywał elekcyą królewicza. Ona wolała pozostać w Dreźnie; kilką krokami spiesznemi Brühl znalazł się w progu domku... ona wyszła naprzeciw niego. Wnętrze chatki daleko ozdobniejsze, niżby się po jęj skromnej powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym dosyć dużym pokoju, stał nakryty do obiadu stoliczek na dwie osoby, świecący od srebro, kryształów i porcelany. Nie było nikogo, oprócz hrabinęj i ptaszków, które w brązowych klatkach świergotały, idąc w zapasy ze swemi braćmi na swobodzie.

— Tak późno! — szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rękę całował.

— Prawda, późno — odparł minister, dobywając brylantami kameryzowany zegarek — ale mnie wstrzymano interesem niemiłym a ważnym.

— Niemiłym? cóż takiego?

— Dziś nie mówmy o tém, radbym zapomnieć...

— A ja chciałabym wiedzieć...

— Dowiedzie się kochana hrabino; zawsze zawczasem o rzeczy nieprzyjemnej — rzekł Brühl, siadając naprzeciw niej i głowę opierając na dłoni. Cóż zresztą dziwnego, że człowiek, co jak ja, po stopniach iść musiał i doszedł trochę wyżej, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali, i którzy się mszczą bezsilnymi szyderstwami.

Hrabina, która słuchała z uwagą natężoną, poruszyła się żywo i z uśmiechem lekceważenia, piękną rączką uderzyła po stole.

— Szyderstwo! potwarzami! słowy! — zawołała — i wy jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi? że boli? Musiałabym zwątpić o was kochany Henryku, gdybyście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie odegrać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powinien ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie nie wiele warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: nigdy nie dojdiesz do niczego. Nadto trzeba umieć być wyższym...

— Nikczemne urąganie — wrzucił Brühl.

— Cóż cię to tak może obchodzić, że pies z za płotu szczeka? — spytała piękna hrabina.

— Drażni mnie.

— Nie spodziewałam się tego... wstydz się.

— Nie wiecie o co idzie.

To mówiąc Brühl, dobył z kamizelki medal, który wziął z sobą i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zrazu okiem, przypatrzyła się rysunkowi jednej strony, powoli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnęła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy Brühl rękę jej wstrzymał.

— Potrzebny mi — rzekł.

— Na co?

— Nie puszczę tego płazem — odparł minister. Koncept wyszedł z Saxonii.

Jeśli dozwolimy nicować nasze czynności i nie ukarzymy zuchwalca...

— Znajdźcie go najprzód — szepnęła hrabina — a potem dobrze się zastanówcie, czy, mszcząc się, nie podniesiecie dzieciństwa do ważności, której ono nie ma.

— Znadto sobie pozwalają! — zawołał Brühl. Niedawno Erella trzeba było na ośle wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Koenigsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

— Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu — rzekła — a w ogóle dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co miłe. Spodziewam się wszakże, iż długo tej spółki z nim będzie — dodała ciszej.

— Jak długo ona potrwa nie wiem — odezwał się Brühl. Mojem zdaniem należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie, i jaką omyłką się zgubił.

— Masz słuszność i to nieochybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co zechce. Należy mu dać plac i pole, na którymby koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les mazzons du feu*. Rozśmiała się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewiczkach na korkach, w czepeczku białym na kształt owjej sławnej czekoladniczki wiedeńskiej Liotarda; z podpiętym fartuszkiem, z rączkami do łokcia obnażonymi i dowodzącymi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne; wniosła w tej chwili wazkę srebrną. Uśmieškłem i wejrzaniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionej. Moszyńska dopytywała o wszystko: o pannę Kling, o jej poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którym mówiąc westchnęła i namarszczyła brwi.

— Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze Henryku — odezwała się cicho — panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcej dla królewiczowej, dla stariej Kolowratowej i dla stosunków, niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

— Możecie nią być — rzekł minister — serca drugiego nie mam, a to jakim miał oddałem dawno. Żenię się tak samo jak dzielę władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

— Królowi, królowi nadskakuj; stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę zechce odpoczywać, zapragnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król... nazywam go już tak, bom elekcyi pewna i korony, potrzebuje kogo i zawsze przy sobie, dlatego aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tém wszystkim trzeba pamiętać.

— A! droga hrabino! chwytając ją za rękę — zawołał Brühl — bądźcie moją opiekunką, moją Egeryą²¹, moją opatrnością, a o przyszłość mogę być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy dały się słyszeć u furtki i wnijścia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

— Co to jest? — zawołała.

— Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem by był wpuszczonym.

— Tu? tu? ale któż mu mógł powiedzieć że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo niema.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku, pokazał się mundur szambelański. Ogrodnik zapierał mu drogę, szambelan niezważając nań szedł powoli. Brühl schylił się, spojrzal przez okno, poznał Watzdorfa i na znak hrabiniej, cofnął się do drugiego pokoju drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała prędko sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku. Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwili siedła do stolika, chociaż bardzo niespokojnym okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jęj marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka, i stanąwszy w nich naprzeciw hrabiniej, zwrócił się do goniącego ogrodnika:

— A widzisz... Jęj ekscelencya jest, wiedziałem o tém dobrze.

To mówiąc z szyderskim skłonil się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając dokoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw nięj, Moszyńska przybrała bardzo surową fizygnomię.

— Co pan tu robisz? — zawołała groźnie.

— Po stokroć panią hrabinę przepraszam, jestem najniezwyklejszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jęj pałacu, odprawiono mię z niczem. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za W. ekscelencyą, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

— Że waćpan chcesz naśladować wyżły i gończe, to mnie nie dziwi panie szambelanie — syknęła wstając hrabina — ale ja zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół, stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczu serwetą. Hrabina widziała jak się uśmiechał przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie zmieszała się wcale, ale gniew jęj tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

— Gdzież ten bilet? — zawołała.

— Ja poczekam, kiedym już raz miał szczęście znaleźć W. ekscelencyę, będę cierpliwym.

— Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja patrząc nań nic do ust wzięć nie będę mogła — odezwała się Moszyńska.

— Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny, radbym nią tu odetchnąć.

— Wiosna w polu jest jeszcze daleko wonniejszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w mojej samotności.

Watzdorf się uśmiechał szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

— W istocie samotność w tym kątku, we dwoje... a! jakby była rozkoszną — mruzczał impertynencko.

²¹Egeria — kochanka lub druga żona władcy Rzymu, Numy Pompiliusza, doradczyni króla. Dziś mówi się tak o kobietach doradczyniach, ekspertkach. [przypis edytorski]

— Ja i moja *suiivanta*, tak jesteśmy we dwie, a ogrodnik który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę... trzeci...

— Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innymi, jakby przypadkiem natrafił na medal i odezwał się:

— Proszę hrabinę, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci. Ktoby się to co podobnego spodziewał?

Położył medal na stole, a sam dalej kieszenie przebieirał. Hrabina spojrziała, poznała medal, udała że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i z najzimniejszą krwią odrzuciwszy go rzekła:

— Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

— Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne?

— Jakie? — spytała hrabina.

— Dobrania sobie innych podpór do tronu — rzekł W[at]zdorf²².

— Kogoż? waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha?

Watzdorf zakąsił wargi.

— Pani hrabina jesteś złośliwą...

— Pan mnie nie tylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

— Właśnie jestem w rozpacz, zdaje mi się że go straciłem.

— Biegając za mną, aby mi przykrość wyrządzić — mruknęła hrabina — aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

— Samą!! — powtórzył Watzdorf z szyderskim śmieszkiem, i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

— Rozumiem — wybuchnęła Moszyńska — wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu i więc jeszcze posądzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nademną?

Mówiła jeszcze z gniewem największym i lice jęj zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściła suknią kobieca, i osoba, która już przez kilka chwil wprzódy, wszedłszy pocichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w niej nie jedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tém zjawisku, że nawet hrabina zadrżała ujrzawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, niemłoda, z dziwnie przejmującym wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na której wiek nieśmiały zniszczył nadzwyczajnej piękności śladów, była ubraną tak dziwacznie, iż ją prędzej za obłąkaną niż za zdrową na umyśle wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiej togi czarnej, obszywanej galonami, ze szkaplerzem dziwacznie w litery jakieś szytym na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie malowane znaki kabalistyczne i zodyakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach rodzaj zawoju, przepleciony pargaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długimi końcami spadającymi na ramiona, mało co, białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe wyraziste oczy zwróciła na natręta, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

— Czego tu waćpan chcesz? pocoś tu przyszedł? abys córkę i mnie szpiegował, a potem zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nieodrodny synu „chłopa z Mansfeldu” i bufona, czy i ty mnie prześladować będziesz... Idź precz! idź mi zaraz precz... precz ztąd! Ani mi się waż! Daj mi być z córką samą...

Ręką wyprężoną wskazała drzwi, Watzdorf pomieszany cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze jęj odwiedziny ze Stolpen w Dreźnie, ale tym razem Moszyńska się jęj nie spodziewała nawet, weszła aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na

²²W[at]zdorf — w wydaniu źródłowym fragment nieczytelny; uzupełniony na podstawie innego opracowania. [przypis edytorski]

matki przyjęcie... przyszło jej na myśl, że Brühl który się był cofnął do gabinetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa wnijsć może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszała się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona zdawała się już prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jej biegały po pokoju.

— Weszłam tu niespodzianie — szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę — ale pozwoliłaś mi w tym domku przyjmować tych, z którymi ja się widzieć potrzebuję: dałam wiedzieć pastorowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

— Nie lękaj się, on nadejdzie dopiero wieczorem — dodała Cosel. — Ale któż tu był z tobą? dlaczego się skrył??

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się, matka patrzyła na nią jak w tęczę, z pewnym politowaniem.

— Rozumiem — rzekła z pogardliwym śmiechem — dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym ślizkim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To czego się obawiała Moszyńska, stało się w tej chwili: Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju, i ujrawszy tę postać, której nigdy jeszcze nie widział, ale się jej znaczenia domyślał łatwo, osłupiał nie wiedząc co począć ze sobą.

Moszyńska zwrócona plecami nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się; rumieniec okrył jej twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stworzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

— A więc to on jest? — rzekła uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle.

Brühl stał w progu.

— Kto on? — zapytała Cosel.

— Minister Brühl — cicho odpowiedziała Moszyńska.

— Wszystko nowe u was! oprócz potomstwa chłopca... Brühl! o nikim podobnym nie przypominam sobie. Postąp waćpan — rzekła po królewsku dając mu znak ręką — nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowej... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Augustcie Mocnym... byłam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jedną...

Mówiła powoli, na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na niej ta mowa czyniła, ale jej przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodką i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcym przedstawiał. Pochylony nieco, zdawał się słuchać z nadzwyczajnym zajęciem.

— Masz waćpan szczęście widzieć królowę przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną, a żyjącą tylko aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą w jedyne Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

Moszyńska oczy spuściwszy, poruszona to drżała, to ukradkowem wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła...

Czy Cosel to zrozumiała, czy milczenie Brühla widocznie zmieszane, zamknęło jej usta, dość że²³ wstała z krzesła...

— Pójdę spocząć — rzekła — nie będę przerywała wam konferencji. Córka Coseli powinna Saxonią rządzić. Rozumiem...

To mówiąc tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła poza stołem i doszedłszy drzwi którymi Brühl przed chwilą do pokoju wszedł, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć napróżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w ręku.

— Ja idę — szepnął cicho Brühl, porywając za kapelusz — nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz niepocziwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwycić, odszedł z niczym: to mnie cieszy.

²³zamknęło jej usta, dość że — w wydaniu źródłowym jest to brakujący fragment tekstu. Został uzupełniony na podstawie innego opracowania. [przypis edytorski]

— Watzdorf miał medal — szepnęła Moszyńska — cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

— Ja? nic! chyba żem nadto był dla niego grzeczny.

— To zjadliwa żmija, ja go znam — szepnęła Moszyńska.

— To bufon tylko jak ojciec — rzekł pogardliwie Brühl, ruszając ramionami — ale jeśli mi wejdzie w drogę...

— Ten wiersz na medalu, nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków??

Brühl tylko spojrział na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

— Każę go szpiegować — rzekł krótko — w takim razie nie długo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszcz rzucony u drzwi, który w cieniu leżąc mógł ujść oczów Watzdorfa i wybiegł do ogrodu.

Taż samą ścieżką, którą szedł w nadziei długiej swobodnej rozmowy, wracał nazad myśląc już tylko jak się ztąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka od której miał klucz, zatraskiwała się wewnątrz; nie potrzebował jęj otwierać, wyszedł zaniedbawszy wyjrzyć wprzód i całej swęj przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf, przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go, z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jak gdyby nie został pochwyconym na uczynku...

— A! to wy, panie szambelanie! — zawołał — jakżem szczęśliwy!

— Ja to się nazwać mogę tym szczęśliwym — począł Watzdorf — bo nigdym się nie spodziewał przyszedłszy tu napawać się wonią rozkwitłych jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniami Waszą Ekscelencyę. Jeśli się nie mylę — dodał — to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

— Tak jest — zawołał Brühl śmiejąc się — cha! cha! Ale ja tu nie po owoc, a tém mniej po zakazany, przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowie, tyle było prawdopodobieństwa, iż Watzdorf trochę się zmięszał.

— A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tém sielskiém zaciszu? — zapytał minister.

— Szukam szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie mogę — mruknął szambelan.

— Pod jabłoniami?

— Trafia się ono i tam — mówił Watzdorf — i chyba prędzęj jak na dworze...

— Widzę że panu nie smakuje to życie?

— Nie mam talentu do niego — odparł Watzdorf idąc powoli z Brühlem.

— Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, którym obronny niczego się możesz nie lękać...

— Tak, doskonale narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół — dodał Watzdorf.

Chwilkę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

— Nie miałem jeszcze sposobności powinszować Waszój Ekscelencyi — odezwał się nagle.

— Czego? — odparł Brühl.

— Powszechnie mówią, że najgenialniejszemu z ministrów, przeznaczono najpiękniejszą pannę z naszego dworu?

Głos którym to mówił zdradzał takie uczucie, iż Brühl spojrział nagle wpadając na myśl, że Watzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł a raczój przecucie: drgnął. Jeśli tak, rzekł w duchu, twórca medalu i kochanek przyszłej mojej żony, powinien się dostać w miejsce bezpieczne.

Lecz ani medal, ani pochwyczone serce dowiedzionemi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie uśmiechając się, ale z nienawiścią w oczach. Brühl im więcej wstrętu miał do kogo, tém dlań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: nie darmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

— W. Ekscelencya zbyt królewicza samym zostawiasz — odezwał się Watzdorf — hrabia Sułkowski ma wiele zajęcia, a Frosch, Storch i O. Guarini nie starczą...

Brühl znowu przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech znowu.

— Pan szambelan masz może słuszość, człowiekby chciał dla zasłużenia się tak do-
bre mu panu, iść na wyprzodki choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba też starać się
i o pozyskanie serca swęj narzeczonęj, o której pan wspomnialeś.

— Zdaje mi się że to zbytuczna troska — rzekł Watzdorf — po co temu serce, kto
będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz
W. Ekscelencya doskonały przykład na hr. Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie
troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości
mu brakło z tą szczy pawką, która go kąsała.

— Panie szambelanie — odezwał się — mówmy seryo: czy zgrzészylem czém przeciw
wam, że mnie pragniecie żarcikami swemi dojmować; czy to tylko przywyknienie do
kąsania, którego nie chcesz się pozbyć?

— I jedno i drugie może — odparł Watzdorf — ale nie spodziewałem się ażeby
takiego olbrzyma jak W. Ekscelencya, taka pchła jak ja zabolć mogła.

— Nie boli mnie też to — przerwał Brühl — ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie
bezpieczniejby było mieć we mnie przyjaciela?

Watzdorf wybuchnął śmiechem.

— Ministrowie nie mają przyjaciół — zawołał — to stoi przecie w elementarnym
katechizmie polityków.

— Zato na nieprzyjaciółach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf uklonił się jakby do niego pito, zdjął kapelus i poszedł nie oglądając się
w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

— On? mnie? wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż? oszalał chyba? Co to jest? Zawsze
mi był nieznośnym, z kąd nagła taka złość do mnie? To potrzebuje rozjaśnienia.

Szybszym krokiem, zasłoniwszy się płaszczkiem, poszedł wprost ku domowi. Po
drodze miał właśnie dom w którym pracował Henniecke i wsunął się doń. Przy kancelaryi,
osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radzca zasiadał,
był pod kluczem jego. Wszedł więc niepostrzeżony i zastukał do kancelaryi, w której ży-
we głosy słychać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast, Henniecke wszedł z piórem
za uchem, zdziwiony nieco. Brühl siedział w krzesle.

— Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa — rzekł — daj mu anioła stróża, niech
krok w krok chodzi za nim. Lec z Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać czło-
wieka, któryby potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba
przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

— Watzdorfa? — powtórzył zausznik w zadumaniu — Watzdorfa?? Czy jest nań jakie
podejrze nie?

— Wszystkie jakie tylko najgorsze być mogą.

— Czy musi paść? — spytał Henniecke: Brühl zamysłony nie odpowiedział zrazu.

— Zobaczymy — rzekł — nie chcę sobie robić nieprzyjaciół, rosną oni sami; lecz
jeśli rzecz się okaże potrzebną...

— Czy zawadza? — pytał znowu pomocnik.

— Nie lubię go.

— Wina gdy będzie potrzebną, znajdzie się zawsze.

— Miejcie ją w zapasie — mruknął posepnie Brühl — starałem się i staram być miłym
dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba się pokazać że strasznym być mogę.

I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl nie oglądając się nań,
wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, spiesznie z początku uszedłszy
kilkanaście kroków, zwolnił chodu i włókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła
się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż dogadzając rozdrażnieniu jakiemuś, popełnił kilka
niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniów przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby
się mógł powstrzymać. Watzdorf wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do
tego wszystkiego co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przewzano „trefnisiem“
wyrósł wśród tych wpływów co go popsuć mogły jak innych, na człowieka rażącego swą
nieubłąganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko co go otaczało działało nań, jak

często na pewne wybrane organizacje działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera wśród której żył, nappełniała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowrath, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniała się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsuta wcześniej istotę. Widział on w niej wszystkie jej wady, zalotność, płochosć, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to, od szału dla niej powstrzymać się nie mógł i płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jej przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jego obyczajom, powietrzu, którym oddychała.

Rodzaj rozpaczy go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach, to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane. Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł pomścić się był na kimkolwiek bądź; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zlewał całą żółć jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co zrobić z sobą, prawie machinalnie, nieszczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pierwsza część żaloby już była upłynęła, mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, znając jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż divy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*, jak go przezwali Włosi, zapamiętały muzyk zajmował osobną kamieniczkę, w której była na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała urządzone apartamenta. Od niej płynęły rozkazy, do niej teatralni szli z prośbami klienci.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośnej rozmowie na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonej, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zapęrzoną, co jej nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw O. Guariniego, który spokojniuteńko wśród salki po cywilnemu ubrany się przechadzał.

Twarz jego śmiała się z politowaniem: Faustyna ściagała go z pięściami zaciśnionymi.

Guarini zobaczywszy szambelana, wskazał mu włoszkę obu rękami.

— Patrz, patrz! co ta kobieta ze mną wyrabia — śmiał się — z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niej przychodzi. *Furioso! diavolo! furioso!* Żebyż zamiast krzyzczyć śpiewała...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa: — Biorę was za sędziego — zakrzyczała — chce mnie uczynić malowaną lalką, chce abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! musi iść precz, pójdzie precz!

— Za co? za co? — cicho i wysuwając z kołnierza głowę jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini — dlatego że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy francuzki wdzięczniej świecą niż twoje?

Faustyna płaśnęła w dłonie.

— Słyszysz go, tego *prete*²⁴ obrzydłego! — krzyknęła, rękami poczynając mu wywijać przed samą twarzą — alboż to ja potrzebuję hołdów? albo mi ich mało? albo mi nie miały czasu obrzydnąć?

— O! kobiecie kadzidło! — zaśmiał się Guarini.

— Ale o kogoż idzie? — spytał Watzdorf.

— *Un poverino*²⁵ — odezwał się Jezuita — którego ta nielitościwa chce wypędzić z teatru.

— *Un assassino! un traditore! una spia!*²⁶ — wołała Faustyna.

Watzdorf jakkolwiek smutny tą pocieszoną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

— Ja państwa pogodzę! — zawołał — czekajcie!

Zwrocono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądaną.

²⁴*prete* (wl.) — ksiądz. [przypis edytorski]

²⁵*un poverino* (wl.) — nieborak, biedaczysko. [przypis edytorski]

²⁶*Un assassino! un traditore! una spia!* (wl.) — Zdrajca! zabójca! szpieg! [przypis edytorski]

— Niech winowajca idzie precz — rzekł Watzdorf — a na jego miejsce jak skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie jednego z ministrów. Niéma lepszych nad nich! a że Faustynie z ministrem się nie zechce kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową: Faustyna umilkła jakby zrozpaczona i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

— *Carissimo*²⁷ — rzekł łagodnie — jeszcze do kanikuly daleko, a wy coś zdajecie się jakby rażeni od upału.

— Nie, jeszcze się nie wściekł — rzekł Watzdorf — nie zaręczam jednak żeby do tego nie przyszło.

— E! cóż ci jest? spowiadaj się.

— Chyba kolana Faustyny za konfesyonał będą służyły...

— Poganin jakiś! — zaśmiał się Jezuita — co ci jest? pytam.

— Ale nic mi, mój Ojczy, świat mi się wydaje głupim i po wszystkim.

— *Carissimo perdonna*²⁸ — rzekł Jezuita — głupim, to ty mi się wydajesz plotać rzeczy niezdrowe. Wiész, ja ci dam jedną radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie nikogo niéma, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklnij się, wyłaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiész, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Słuchał Watzdorf obojętnie.

— Żal mi waćpana — dodał O. Guarini.

— Żebyś Ojczy wiedział, jak mnie żal was wszystkich — westchnął Watzdorf — ale któż tu nas rozsądzi przy kim prawda i czyj żal lepszy?

— Dajmyż sobie pokój — odezwał się Jezuita i pochwycił za kapelusz.

Faustyna jeszcze swą włoską furę wydechowała na sofie, Guarini podszedł do niej i skłonił się pokornie:

— Raz jeszcze ośmielam się prosić Waszój Ekscellencyi za tym *poverinem*: uczynić to dla mnie.

— Wy uczynicie bezemnie co się wam podoba — odparła Faustyna — ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.

Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.

Była to ta godzina milego spoczynku, który Fryderyk używał z rozkoszą po całodzienném próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sułkowskiego, Brühla i O. Guariniego, gdyż oprócz nich, nikt do niego wówczas przystępu nie miał.

Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było też mniej zawadnego, a miłszego towarzysza. Król lubił się śmiać, śmieszył go; chciał milczeć, pomagał do zachowania milczenia: zapytywany odpowiadał wesoło, a nigdy w niczém się nie sprzeciwiał.

W pokoju kurfirsta nie było nikogo, oprócz Brühla.

Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia pełnej i coś szeptał. Królewicz słuchał pilnie i głową znacząco potrząsał.

— Słyszycie, mój Ojczy, co mówi? — rzekł do wchodzącego Jezuity.

Ten zbliżył się.

— Mów dalej — odezwał się Fryderyk.

Brühl posłuszny począł, mierząc znaczącym wzrokiem O. Guarini.

— Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu z niewiadomych powodów, stał się tak ostrym i nieznośnym...

— O! o! — szepnął królewicz — to źle...

— O kim mowa? — cicho spytał Jezuita.

— Ośmieliłem się zwrócić uwagę Najjaśniejszego pana, na szambelana Watzdorfa.

Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.

— W istocie — rzekł — i ja go znajduję w usposobieniu szczególném.

— Tém gorszém — dodał Brühl — że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugich...

Królewicz westchnął, widocznie już go to nudziło, nie odpowiedział nic.

— Gdzie ten błazen Frosch? — zawołał nagle — pewnie już śpi gdzie w kącie.

²⁷ *Carissimo* (wł.) — najdroższy. [przypis edytorski]

²⁸ *Carissimo perdona* (wł.) — najdroższy, wybacz. [przypis edytorski]

Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli wyprzedzając się biedz do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wyrzucił, a Frosch siadł mu zaraz na grzbiecie. Królewicz począł się śmiać serdecznie, biorąc za boki.

Rozstąpili się widzowie.

Storch upokorzony natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się sądząc że nagle poruszeniem wyrzuci go, ale ostrożny małeć zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć z jaką pociechą oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawie końca tej walki. Za krzesłami oba trefnisie kwicząc i piszcząc poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza, w najsmutniejszych życia godzinach, bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkim co dnia tego słyszał... Nie wiem jakby to długo było trwało, gdyby O. Guarini nie szepnął na ucho N. panu, że godzina wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła i wprost od pajaców swych, nagle spoważniały wielce królewicz, udał się wraz z Jezuitą do zamkowej kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bruhl-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Brühl. Opowiadanie historyczne, tom I, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0413-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).